Nr. 203. Lwów. — Niedziela dnia 2 września. **Rok 1888.**

Wychodzi codziennie z wyjątkiem dni poświątecznych.

Cena prenumeraty:

We Lwowie bez dostawy:	Na prowincji z przesyłką pocztową
Miesięcznie zł. 75 ct.	Miesięcznie 1 zł
Kwartalnie 2 „ 25 „	Kwartalnie 3 „
Półrocznie 4 „ 50 „	Półrocznie 6 „
Rocznie 9 „ — „	Rocznie . 12 „

Za dostawę do domu miesięcznie 25 ct.

Numer kosztuje 4 centy

Prenumeratę z dostawą do domu we Lwowie należy składać w Biurze Dzienników, ul. Karola Ludwika Nr. 9.

Prenumerata tak miejscowa jak i zamiejscowa winna się kończyć z końcem miesiąca, kwartału, półrocza lub roku. Innej się nie przyjmuje.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Z zamiejscową prenumeratą zgłaszać się należy do Administracji „PRZEGLĄDU“ we Lwowie, przy ul. Sykstuskiej l. 45. Zmiana zamiejscowej prenumeraty na miejscową i odwrotnie jest niedopuszczalna.

Uprasza się prenumeratę przysyłać przekazami pocztowemi, a nie w kopertach. Osoby przysyłające pieniądze w kopertach raczą dopłacać po 5 ct. do każdego listu.

Miejscową prenum. we Lwowie przyjmują: Trafika J. Ważnego, przy ulicy Czarnieckiego liczba 2. — Trafika przy ulicy Karola Ludwika liczba 5. — Trafika przy ul. Ossolinskich (obok Łazienek Diany). — Biuro Dzienników, przy ul. Karola Ludwika liczba 9.

Rękopismów Redakcja nie zwraca.

Dziś: B. 15 p. św. Justa B. Jutro: Mansueta. | Adres Redakcji i Administracji Ulica Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski. | Wschód słońca g. 5 m. 200 Zachód „ 6 „ 400 | Długość dnia g. 13 m. 200 Ubyło dnia 3 0 min.

Przegląd polityczny.

O rosyjskich manewrach na Ukrainie donoszą nam z Kijowa: „Będzie to pierwsza u nas próba na wielką skalę mobilizacji armii i oddania wszystkich komunikacyjnych środków w zarząd władz militarnych. Główną kwaterą sztabu zmobilizowanych wojsk naznaczono Elizabetgród; tu się skoncentrują pułki, należące do odeskiego okręgu w liczbie 80 batalionów piechoty, 78 szwadronów, 23 ośmiodziałowych bateryj i 11 batalionów strzeleckich; cała ta siła na stopie pokojowej liczy 65.000 żołnierzy. Wnet po przybyciu cara wyjdzie rozkaz mobilizacyjny; wtedy koleje żelazne i telegrafy będą oddane do użytku wojskowości, a konie i wozy chłopskie i folwarczne będą zarekwirowane do przewozu rezerwistów, amunicji i żywności. Według tutejszego urządzenia, każdy żołnierz służy w czynnej armii lat 15, z których pięć pierwsze przebywa w szeregach, a następne dziesięć na urlopie; każdy zaś dymisjonowany oficer musi się stawić na zawołanie aż do czterdziestego trzeciego roku życia. Zwykle tak bywa, że ci urlopowani żołnierze i dymisjonowani oficerowie, choć stale mieszkają w odeskim okręgu, należą jednak do pułków, rozlokowanych w innych okolicach państwa. Pomimo tego będą oni powołani do uzupełnienia batalionów, szwadronów i bateryj zgromadzonych pod Elizabetgrodem i tu otrzymają właściwe umundurowanie; w ten sposób ta armia będzie postawiona na stopie wojennej i odrazu rozpocznie ewolucje militarne: wielkie marsze, bitwy, służbę forpocztową i t. d. Będą próby: przerzucenia całej armii przez Dniepr po moście zbudowanym pod ogniem nieprzyjacielskim; ładowania i wyładowania wojsk na kolejach; urządzenia oszańcowanego obozu i t. d. Po skończeniu tych prób, które wykażą stopień bojowej zdolności wojsk zmobilizowanych w ten sposób, car odjedzie do Odesy, stamtąd do Krymu i na Kaukaz, a rezerwiści rozpoczną zwykłe ćwiczenia. Wszelkie parady i galowe rewje są wykluczone.

„Plan manewrów dotąd trzymany jest w tajemnicy; mówią jednak, że ruch armii będzie się odbywał w kierunku od południa na północ, a to dla uniknienia pozorów jakiej polityczno-wojskowej demonstracji“.

Z Odesy piszą, że tam przygotowano kilka wojennych fregat, które będą towarzyszyły yachtowi wielkich książąt (braci cara) Aleksego i Pawła, udających się do Jerozolimy na uroczystość poświęcenia kaplicy zbudowanej kosztem dynastji rosyjskiej na górze Oliwnej na pamiątkę zmarłej carowej, matki tych książąt. W świcie ich będzie się podobno znajdował Pobiedonoscew, który osobiście zbada warunki istnienia i potrzeby prawosławnych „skitów“ (schronisk klasztornych) w Jerozolimie. Książęta zatrzymają się w Konstantynopolu.

Z Poti, Kutaisu i Tyflisu, przez które car będzie przejeżdżał do armii kaukazkiej, obozującej w Kachetji, wydala teraz policja osoby podejrzane (*niebłagonadiożnyja*, nie wzbudzające zaufania), a czyni to tak gorliwie, że wywołała szemranie jednych, a ironiczne uwagi innych o powadze tronu, te zaś szemrania i uwagi dały początek licznym procesom o obrazę majestatu carskiego. W ten miły sposób dano uczuć ludności kaukazkiej zbliżenie się białego cara.

Wczoraj na imieniny sułtana przybył do Konstantynopola syn królowej angielskiej ks. Edynburski. Padiszach przyjął go z ogromnemi honorami i z prawdziwie wschodnim przepychem, a po wieczerzy ofiarował mu nocleg w swoim kiosku, lecz książę grzecznie wymówił się od tej przyjemności i wrócił na swój statek, a dziś opuszcza Złoty Róg.

W Sofji wykryto jakiś rosyjski spisek, ułożony jakoby dla wywołania powstania, porwania księcia, rządu i dyplomatycznych agentów Austrji, Włoch i Anglji. Niedawny nieudały nocny napad na agenturę serbską obudził czujność policji, Mutkurów zorganizował kilka konnych oddziałów, które przetrzęsły całą okolicę i wyłapały mnóstwo podejrzanych osób, należących do band zbójeckich. Ze śledztwa okazało się, że był plan opanowania Sofji w nocy i uwiezienia wszystkich wymienionych osób, zanim wojsko obozujące zdala od stolicy zdąży na pomoc. Zbój Sowow, Rosjanin i były rosyjski oficer, kierował całem tem przedsięwzięciem, ale na śledztwie nic z niego wydobyć nie udało się. Natomiast szczerze przyznali się do wszystkiego inni aresztowani Rosjanie Bałaszczuk i Dubnickij, którzy byli podoficerami artylerji, a potem szynk założyli naprzeciw koszar i tu skoncentrowali nicie spisku i agitacji między wojskowymi. Przyznał się także do należenia do spisku jakiś Rosjanin dorożkarz, którego obowiązkiem było wozić rozkazy Sowowa i wiadomości zbójom w góry.

Już Machiawelli był powiedział: wykryty spisek rewolucyjny wzmacnia siły rządu. Zdemaskowanie „prywatnych usiłowań rosyjskich ludzi“ w Bułgarji wyjdzie niezawodnie na korzyść ks. Ferdynanda i jego rządu.

Mianowanie Benningsena, szefa narodowych liberałów, nadprezydentem nawskróś katolickiej i konserwatywnej prowincji hannowerskiej ma bardzo ważne polityczne znaczenie. Jest ono pośrednią wskazówką rządu, że błędne było mniemanie, oparte na pastorskich sympatjach Wilhelma II, jakoby teraz, powoli, rząd pocznie się stanowczo przechylać na stronę junkrów, a plecami się odwracać od swych długoletnich murzynów-liberałów; jest nadto obaleniem przypuszczeń, że znane antisemickie artykuły w *Gazecie Krzyżowej* pojawiły się na życzenie rządu; jest w końcu naprawą wrażenia, wywołanego w mieszczaństwie sonnenburską mową cesarza. Co do wszystkich mów Wilhelma II, to one w ogóle, regularnie zawsze, potrzebują sztucznych tłumaczeń i niezawsze zręcznych zmian *aposteriori* w *Reichsanzeigerze*.

Do tych „sprostowań“ już publiczność nie przywiązuje wagi, więc trzeba je faktami popierać. Zbiegły się tedy trzy konieczności zniewalające do nominacji szefa narodowych liberałów — przeważnie żydów i mieszczan: antisemicka wojna junkrów, sonnenburska mowa Wilhelma II i bardzo rozpowszechnione mniemanie, że sfery dworskie, jeśli nie kanclerskie, popierają dążność do zerwania kartelu między konserwatystami a liberałami, aby przy wyborach administracja mogła popierać kandydatów konserwatywnych, którzyby następnie utworzyli w sejmie silne rządowe stronnictwo. We wszystkich tych trzech sprawach rząd nominacją Benningsena odrazu umył ręce i pokazał, że nietylko od liberałów się nie odwraca, ale owszem powołuje ich do rządu i to na posterunki nader ważne. Mniejsze miałoby znaczenie mianowanie Benningsena ministrem handlu, co — jak przypuszczano po konferencji tego pana z kanclerzem we Friedrichsruhe — stać się miało. Mianowanie go nadprezydentem, więc pierwszym urzędnikiem królestwa hannowerskiego, nawskróś katolickiego i oziębłego dla Prus, jest szczególną oznaką zaufania rządu do liberałów i wyrazem uznania dla ich wyjątkowych zdolności tańczenia podług rozkazu. Semici berlińscy mogą dumnie spoglądać na pastorów i junkrów, a ta okoliczność, że w szóstym, najludniejszym berlińskim okręgu, 70 procent głosów padło na socjalistę Liebknechta i on tam pobił nietylko junkra Holtza, ale nawet postępowca Knörckego, ma dla panujących liberałów raczej dziejowe, jak aktualne znaczenie: o dalekiej przyszłości wypadek ten daje do myślenia, na dziś zaś nic jeszcze nie znaczy, a któż dziś o przyszłości myśli?

W Azji Mniejszej Ormianie tłumnie rzucają gregorjańską, bardzo zbliżoną do prawosławia sektę i przechodzą na łono katolickiego Kościoła. Właśnie teraz Papież wydał do nich Encyklikę, organizującą u nich hierarchję kościelną i nakazującą im wierność dla sułtana, „monarchy obdarzonego wielkiem poczuciem sprawiedliwości i miłości pokoju.“

Debaty wpadły na niedorzeczny koncept, że temi pochwałami dla sułtana Papież chciał ukłóć rząd włoski, jak gdyby bez kłócia kogoś już nie można oddać słuszności innowierczemu monarsze!

Korespondencje.

Z Podola w sierpniu.

Gdy ostatnia kopa oziminy znika z pola, śmiało rzec można, że lato się kończy, i że jesień następuje szybkim krokiem. Tę na wsi taką zmianę dekoracji widzimy co rok w innych latach wcześniej, w tym roku daleko później, bo obecne żniwa były tutaj bardzo spóźnione. Niedawno jeszcze roiło się po polach i łanach od pracowitego ludu, a dziś wszędzie głucho i pusto, nie widać w polu ani jednej kopki, ledwie gdzieniegdzie świeci smuga spóźnionego owsa, zieleni się łan dworskich buraków cukrowych lub bujnego prosa, szumiącego na wietrze, jak sitowie nadrzeczne, gdyż proso w tym roku wyjątkowo obrodziło.

Patrząc od wielu lat na znaną apatję tutejszego włościanina, nieraz podziwiać muszę jego energję i pracowitość przy żniwach. Wówczas przeistacza się on w innego człowieka. Starzy ludzie dworscy, którzy mieli czas odwyknąć od pracy rolnej, proszą jak o największą łaskę, aby ich „puścić na żniwa“. Mężczyźni i kobiety, zgięci na skwarze słonecznym, oblani rzęsistym potem, pracują zapamiętale. Taką pracę uważają za najmilszy dla siebie obowiązek, za rodzaj kapłaństwa rolnego względem tej poczciwej matki ziemi, w której kiedyś stare swe kości złożą. Na żniwa wybierają się jak na jaką uroczystość; wdziewają świeżą bieliznę na zażynki i dożynki, i w ogóle przystępują do żniw z pewnem namaszczeniem, dowodząc tem jawnie, że lud tutejszy, mimo wszystkiego, jest przeważnie rolniczym, tak jak byli wszyscy jego przodkowie od niepamiętnych czasów. Żną więc i zwożą kopy zapamiętale, nawet często w nocy, przy świetle księżyca, byle zboże pochwycić i złożyć pod dachem. Później zaś opieszale chodzą koło wyrobku roli dla posiewu oziminy, często się z nim spóźniają, a namówić ich nie można do głębszej orki.

Jaki rezultat przyniosą tegoroczne żniwa pokaże się to później dopiero, bo naturalnie nie mamy dotąd próbnych omłotów. Wiemy tylko, że w tutejszej okolicy żyta kompletnie chybiły; pszenice są lepsze, lecz nie dorownywają zeszłorocznym. Jęczmiona i grochy mniej, niż średnie. Trawy naturalne i pastewne bardzo liche, z powodu długotrwałej zimnej posuchy czerwcowej. Pogoda dość nam sprzyjała, choć mieliśmy kilka nawałnic z gradem, które zrządziły wielkie szkody. Wiemy również, że ceny na wszelkie gatunki zboża są bardzo niskie, że na zboże nie ma poważnego i chętnego kupca. Za jednym tylko rzepakiem zimowym latają małomiasteczkowi handlarze, skupując go dla firm zagranicznych, szczególniej dla firmy Dreyfuss et Co., mającej główną agenturę w Odesie. Za piękny dobrze wysuszony rzepak zimowy, płacą loco stacja kolejowa rs. 4 kop. 48, nawet rs. 1 kop. 50 i wyżej za pud. Jest to więc jedyny produkt, łatwy do zbycia obecnie, bo na pszenicę, choć wiemy ze sprawozdań handlowych, że ceny jej idą w górę, nie ma dotąd łatwego zbytu.

Z powodu przyszłych manewrów XI i XII korpusu armji, króre mają się rozpocząć ku końcowi sierpnia (v. st.), w kilku przyległych powiatach drogi pocztowe i uboczne starannie są naprawiane szarwarkiem włościańskim; właściciele dóbr obowiązani są dawać potrzebny leśny materjał.

Mowa p. Ign. Zakrzewskiego,

prezesa Koła polskiego w sejmie pruskim.

Bardzo ożywiona akcja przedwyborcza toczy się teraz w W. ks. Poznańskiem. Co dzień w kilku lub kilkunastu miejscowościach odbywają się liczne sejmiki, na których objawia się rzadka w naszem społeczeństwie zgodność zapatrywań na sytuację, stworzoną dla Wielkopolski pruskiemi wyjątkowemi ustawami, i na przyszłe obowiązki, których sumiennie i wytrwale powinni przestrzegać Wielkopolanie, jeśli chcą bez szwanku przetrwać nawałnicę klęsk, wysypanych na nich z pruskiej puszki Pandory.

Między głosami, które się odezwały podczas tej akcji przedwyborczej, zasługuje na szczególne wyróżnienie mowa na sejmiku odolanowskim p. Ignacego Zakrzewskiego, prezesa Koła, męża wielkich zasług, cnót i doświadczenia, a wiedzy politycznej uznanej przez całą rozsądną część wielkopolskiego społeczeństwa.

Zaznaczywszy, że p. Zakrzewski dał historyczny szkic antipolskiej akcji pruskiego rządu i że następnie dobitnie wykazał „kłamliwe i oszczercze“ praktyki jątrzycieli poznańskich, mianujących się „niezawisłą opozycją“ przeciwko Kołu polskiemu i zgrupowanych około t. zw. „niezawisłej prasy“ w rodzaju *Gońca Wielkopolskiego*, — podajemy tu tę część mowy Szanownego prezesa, w której on wspomina o adresie do Fryderyka III i wytyka całemu społeczeństwu program postępowania w przyszłości, — program doradzony ludności poznańskiej niejako w imieniu przywódzców jej, bo przez naczelnika legalnej, wybranej reprezentacji kraju.

P. Zakrzewski tak mówił:

„Podałem Wam, Szanowni Wyborcy, szereg ustaw wyjątkowych w ostatniem trzech leciu przeciw nam wymierzonych: wydalania, kolonizacja, oddanie wyłącznie rządowi szkoły bez uwzględnienia rodziców i gmin, szkoły uzupełniające przymusowe, wreszcie usunięcie w szkole nauki polskiego czytania i pisania, — wszystko to spadło na nas takiem brzemieniem, że się zdawało, iż nam już oddychać nie będzie wolno. W tem okazało się, jak tęcza na niebie zapowiadająca lepszą przyszłość, orędzie śp. cesarza Fryderyka III do ks. Bismarka, w którem wypowiada jak będzie rządził, jeżeli mu Bóg żyć pozwoli. Powiedział najpierw, że wszyscy poddani są równie bliscy jego sercu, — a my tu przez ustawy wyjątkowe traktowani jesteśmy jako podrzutki; powiedział dalej, że nie trzeba zmieniać artykułów konstytucji, — a tu ich tyle nazmieniano lub nadwerężono, aby nas dręczyć; powiedział jeszcze, że wszystkie wyznania będzie szanował, — a co się u nas dzieje z naszą religją św. w szkole i kościele? — powiedział wreszcie, że do wszystkich swych poddanych ma równe zaufanie, — a tu ministrowie i ich gazety w oczy nam mówią, że jesteśmy nieprzyjaciołmi państwa. Nic dziwnego, że po tych wzniosłych słowach, za które go zapewne na tamtym świecie Pan Bóg wynagrodził, wstąpiła w nasze serca otucha, że nasz ciężki los będzie ulżony, że znikną antypolskie ustawy wyjątkowe. To też, kiedy cesarzowa Wiktorja przybyła do Poznania z swą córką księżniczką Wiktorją i okazała Polakom, jakby na potwierdzenie słów cesarskich, tyle zaufania oraz tyle łaskawości i względów, to entuzjazm naszego społeczeństwa nie znał prawie granic. Świadczył o nim liczny zjazd obywatelstwa, panów i pań, na przyjęcie Jej na dworcu, tłumy ludności wszystkich stanów na ulicach, radosne okrzyki na cześć cesarzowej i księżniczki Wiktorji; słowem, okazaliśmy naszym nieprzyjaciołom, którzy zawsze tylko samo złe w nas widzą, że każde poczciwe i szlachetne słowo do nas wyrzeczone, znajduje żywy oddźwięk w naszych sercach. Taka to już natura nasza.

„W obec tego wszystkiego Koło poselskie zapytało siebie, jakie ma zająć stanowisko, czy pójść za swem społeczeństwem i dać także wyraz uczuciu wdzięczności, czy też milczeć i stanąć do niego niejako w przeciwieństwie. Na posiedzeniu połączonych Kół zdania były bardzo podzielone i to z rozmaitych względów, wreszcie przeważyła bardzo małą większością opinja, żeby podać do tronu adres, i ja też po tej stronie stanąłem głównie z tego powodu, że kiedy nam już ministrowie zaprzeczają prawa nazywać się Polakami, to sam cesarz adres właśnie od Polaków jako t a k i c h przyjmuje. — W tym adresie powiedzieliśmy, że powodem do niego są właśnie słowa ś. p. cesarza, które już przytoczyłem, a które przez pobyt cesarzowej w Poznaniu zostały potwierdzone; aby raz dotknąć sprzeczności pomiędzy temi słowami a rzeczywistym stanem rzeczy u nas, wspomnieliśmy o n a s z y m w i e l o r a k o c i ę ż k o n a w i e d z o n y m k r a j u, zostawiając niejako wyrównanie tej sprzeczności jego ojcowskiemu sercu. W końcu wyraziliśmy śp. cesarzowi za jego wzniosłe słowa naszę wdzięczność i zapewniliśmy go o naszej wierności. — Ostatnie te słowa wywołały w pewnej części naszej prasy prawdziwą burzę na Koło poselskie, lubo adres był tylko słabem echem manifestacyj, które miały miejsce w Poznaniu i które szły jeszcze dalej, jak on. Jego myśli politycznej nie uznano, lub nie chciano jej zrozumieć, a adres nazwano krótko „wiernopoddańczym“, nie pomnąc na to, że to, co się podobało nazwać wiernopoddaństwem, nie jest niczem innem, tylko programem narodowym, przyjętym po roku 1863, t. j., że dla nas epoka spisków, buntów i rewolucyj się skończyła, że pragniemy tylko pracować na polu materjalnem i rozwijać się na polu umysłowem, aby nie pozostać za ludami Europy i materjalnie i umysłowo nie zginąć, a czekać, co Pan Bóg da. Odpowiedź, dana nie przez ś. p. cesarza tylko przez ministerstwo, bo cesarz już dogorywał, ominęła główne punkta adresu, tylko wysnuła z niego wniosek, że on jest podziękowaniem za dobrodziejstwa uregulowanych u nas stosunków, i że odtąd porówno z drugimi będziemy pracować na dobro niemieckiej ojczyzny. My nie rozumiemy, jakie to mają być owe uregulowane stosunki, za które mamy być wdzięczni, i czy to nie są właśnie owe ustawy wyjątkowe, któremi nas obdarzono; a co do brania równego udziału z innymi poddanymi w pracach około dobra Prus, to się pytamy, jak to? żyć pod ustawami wyjątkowemi, a przytem brać równy udział w tych pracach?

Rozwiodłem się szeroko nad adresem, bo i w tej sprawie pewna część dziennikarstwa naszego wzniosła tumany kurzu, zaciemniające rzeczywisty stan rzeczy i przypisujący Kołu brak patrjotyzmu i rozwagi, i mam nadzieję, że się temi słowami do wyjaśnienia prawdy przysłużę.

Teraz pewnie spytacie się, jakie jest nasze obecne położenie i co mamy w niem robić? — Położenie nasze określił nam wyraźnie ks. Bismark, mówiąc, że mieszkańcy tutejsi muszą być „pewnymi,“ to jest albo się zniemczyć, albo się wynieść i zrobić miejsce urodzonym Niemcom. — I cóż my na to? Czy istotnie mamy przestać być Polakami? Nigdy, przenigdy! Pan Bóg nie na to stworzył narody, aby je głosowania w sejmach zmiatały z powierzchni ziemi; dał On każdemu z nich osobne zadanie do spełnienia i w każdym z nich zaszczepił swego ducha, którego odstępować pod ciężkim grzechem nikomu się nie godzi. Ale cóż mamy tedy zrobić, my słabi, przeciw takiej sile? Oto wam powiem, co mnie się zdaje być słusznem. Najpierw trzymajmy się do śmierci naszej religji św., bo ona jest kotwicą, która nam nie da utonąć. Patrzcie na Irlandczyków. Od 700 lat są oni uciskani od Anglików, ale że swoję katolicką wiarę zatrzymali, nie stracili dotąd swej narodowości i dziś żyją nadzieją, że dla nich niezadługo lepsze czasy zabłysną. Patrzcie też na naród żydowski, wszak oni od przeszło 1800 lat są rozproszeni po całym świecie, ale ci z nich, którzy swej religji wiernymi pozostali, nie zatracili swej narodowości, a tylko ci, którzy ją opuścili, są teraz niczem, za żydów nie chcą być uważani, ale też nikt do nich nie chce się przyznać.

Po drugie: pielęgnujcie w domach obyczaj i język ojczysty, a uczcie dzieci wasze czytać i pisać po polsku, to jest najświętszy obowiązek. Pomyślcie tylko, czem dziś jest człowiek nie umiejący ani jednego, ani drugiego; ani książki do nabożeństwa wziąć mu do ręki, ani żadnego pożytecznego pisma, któreby go pouczyło, jak ma gospodarować, jak ma przedawać swoje produkta, jak ma zapisywać swoje dochody i rozchody. Czy to dziś podobna bez tego wszystkiego

---

22)

Za winy niepopełnione

przez

E. Werner

przetłómaczyła z niemieckiego H. W.

(Ciąg dalszy).

Chmurnem okiem patrzył za nimi Jerzy. Ta dziecinna zemsta dotknęła go głęboko, a w duszy jego znów obudziła się przykra niepewność, czy dobrze robi, chcąc wyrwać tę płytką, powierzchowną istotę z atmosfery przepychu i blichtru wielkiego świata, do której zdawała się stworzoną, aby ją przykuć do siebie, w zamian za zbytki dać jej uczciwą mierność, za blask zewnętrzny, hołdy i tryumfa na śliskiej posadzce salonu cichą miłość swoję. Wzajemność jej dawała mu do tego prawo — ale czyż ona go kochała prawdziwie, z tem głębokiem uczuciem, z jakiem kobieta ukochać potrafi? Czy to uczucie nie było raczej kaprysem, chwilową zachcianką zepsutego dziecka? — a gdyby nie znalazła szczęścia u jego boku, lub gdyby on sam czuł nieszczęśliwym z kobietą, która w zamian za jego gorącą miłość i poświęcenie gotowa mu przynieść tylko kaprysy i niezadowolnienie... Może obojgu im przyjdzie zapłacić krótkie szczęścia marzenia całem życiem łez, bolu i bezsilnego szamotania się w więzach, których nic skruszyć nie zdoła...

Młody człowiek pociągnął ręką po czole; chciał w sobie zagłuszyć zimny głos rozumu, który tak okrutnie wydzierał mu z duszy resztki ułudy i nadziei. Otrząsnął się z przykrych myśli i zamierzał właśnie opuścić salonik, lecz właśnie w tej chwili ukazał się w progu radzca dworu Moser w towarzystwie dyrektora policji. Pierwszy miał na szyi na cześć dzisiejszej uroczystości krawat olbrzymich rozmiarów, który mu ujął głowę jak w kleszcze, w skutek czego postawa jego jeszcze sztywniejszą się wydawała. Obaj panowie weszli żywą zajęci rozmową, ujrzawszy jednak Winterfelda, umilkli natychmiast, tak, że młody człowiek nie bez słuszności posądzał, że to on był przedmiotem tej rozprawy. Przypuszczenie to potwierdzało i bystre spojrzenie, którem go obrzucił dyrektor policji, podczas gdy radzca przystąpił żywo do niego.

— Dobrze, że pana widzę, panie asesorze, — począł bez ogródek. Chciałem prosić pana, abyś się podjął zlecenia...

— Z przyjemnością. Proszę, rozkazuj pan.

— Przyjaciel pański, pan doktor Brunnow — radzca wymówił te słowa z takim przyciskiem, jak gdyby każde z nich z osobna zawierało oskarżenie o zbrodnię stanu — narzucił się nam za ordynarjusza bez mojej wiedzy i woli. Nie wzywany przyszedł do mego domu, zbadał moję córkę, zapisał receptę, a nawet śmiał mi zagrozić powtorną wizytą. Nie wiedziałem wtedy, jak właściwie rzeczy stoją...

— To było nieporozumienie — przerwał Jerzy. — Maks mi to opowiadał. Rzeczywiście, sądził, że go za wiedzą pana domu wezwano — nie wiedział zresztą w czyim się domu znajduje...

— A więc na przyszłość będzie już o tem wiedział, — rzekł radzca prostując się, — i proszę pana, abyś mu oznajmił, że ja raz na zawsze nie życzę sobie słuchać rad lekarza, który nosi tak nielojalne nazwisko i jest synem demagoga rewolucjonisty! Powiedz mu pan, żeby sobie znalazł inne właściwsze pole dla swojej demagogicznej propagandy, jak dom radzcy dworu Mosera, który jest dumnym z tego, że się liczy do najwierniejszych poddanych miłościwie nam panującego księcia. Są ludzie, nawet urzędnicy, panie Winterfeld, którzyby powinni brać sobie do serca podobne zasady i nimi rządzić się w życiu. Lepiejby na tem wyszedł kraj i społeczeństwo, panie Winterfeld!

To powiedziawszy, radzca kiwnął głową, a raczej, spróbował to uczynić, lecz napróżno, bo biały krochmalny futerał paraliżował najlepsze chęci szanownego biurokraty, i wyszedł, święcie przekonany, że piorunującą swoją wymową starł na miazgę nikczemne zamysły opozycjonistów.

Dyrektor policji, który dotychczas trzymał się na uboczu i był tylko niemym tej sceny spektatorem, zbliżył się teraz do asesora.

— Zdaje mi się, żeś pan u lojalnego radzcy w kompletną popadł niełaskę, — zauważył żartobliwym tonem. — Właśnie przed chwilą pan Moser opowiadał mi długo i szeroko o podejrzanych pańskich stosunkach i nielojalnych, jak się wyraził, znajomościach. Spodziewam się przecie...

— Pan radzca jest w błędzie, — odparł Jerzy spokojnie. — Jest to dawna przyjaźń z ław uniwersyteckich, którą on mi na każdym kroku zarzuca jak zbrodnię, która jednakże nic nie ma wspólnego z polityką. Mogę panu zaręczyć, że przyjacielowi memu, który tu przyjechał dla załatwienia sprawy spadkowej, a który tylko dziwnym zbiegiem okoliczności dostał się do domu pana Mosera, nie postało w myśli krzewienie jakiejkolwiek propagandy i że nie da powodu, abyś pan nad nim musiał użyć swej władzy.

Dyrektor policji uśmiechnął się słodziutko.

— Spodziewam się, radzca Moser staje się czasami męczącym z tą swoją lojalnością, gdy we wszystkich kątach zaczyna wietrzyć krwawe widmo rewolucji. Gdyby wiedział, że i szef jego był za czasów uniwersyteckich przyjacielem tego samego doktora Brunnowa, o którym on zawsze z takiem wspomina oburzeniem! Wszak musi to panu być wiadomem.

— Tak, wiem o tem, — odparł Jerzy zdziwiony tą dokładną znajomością stosunków, o których zdawało mu się, nikt nie wie, prócz Brunowa.

— Jak się to dziwnie czasem rozchodzą drogi takich przyjaciół z lat młodych! — dorzucił tamten. — Gubernator baron Arno Rawen i tułacz, wygnaniec, bez ojczyzny: czyż można sobie większy kontrast wymarzyć? Przebąkują coś nawet tu i ówdzie, że i baron był za młodu zagorzałym zwolennikiem pewnych ekonomicznych idei...

Tu zatrzymał się chwilę i zdawał oczekiwać odpowiedzi, lecz napróżno. Asesor Winterfeld słuchał w milczeniu.

— Mówią nawet, że baron Rawen miał być wmięszanym w proces, którego ostatecznym wynikiem dla Brunnowa i jego towarzyszów była forteca. Słyszałem to naturalnie tylko jako niepewną pogłoskę. Pan musisz być lepiej o tem poinformowanym przez samego doktora Brunnowa?

— Nie panie, nigdy nie było mowy o tem między nami. Zresztą z aktów możnaby się najłatwiej dowiedzieć, ile jest w tem prawdy.

Dyrektor policji rzucił młodemu człowiekowi spojrzenie, które mówiło: — Choćby nawet tak było, nie głupim — i odparł głośno:

— Nazwisko barona nie jest wogóle wymienionem w aktach procesu. Jeśli rzeczywiście umaczał palce w tej głośnej swojego czasu sprawie, to rzecz ta musiała zostać załatwioną po cichu, w cztery oczy, między nim a późniejszym jego teściem, wszechwładnym naówczas ministrem. Zapewne udało się Rawenowi oczyścić przed nim z zarzutów, bo od tego właśnie czasu datuje się początek jego świetnej karjery.

— To bardzo być może — zauważył Jerzy, rachując się uważnie ze słowami. — Ale wypadki te, od których lat przeszło dwadzieścia minęło, powinny być panu lepiej znane jak mnie. Rozpoczynałeś pan już wtedy swój zawód, podczas gdy ja byłem jeszcze małym chłopcem.

Dyrektor policji widząc, że się tu niczego nie dowie, przestał badać Winterfelda — zamienili jeszcze z sobą parę słów obojętnych, poczem rozeszli się każdy w inną stronę.

Raz tylko jeszcze w ciągu wieczora udało się Jerzemu zbliżyć do Gabrjeli, a właściwie ona to raczej postarała się o sposobność pomówienia z nim słów kilku. Przy kotyljonie, któremu się tylko przypatrywał, nie tańcząc, Gabrjela zbliżyła się doń i wybrała go do tańca. W walcu spotkały się ich oczy — jego wzrok bez śladu goryczy i żalu, a na jej ustach igrał teraz dawny uśmiech serdeczny.

— Cóż Jerzy, jesteś jeszcze zazdrosny? — szepnęła.

Jerzy nie byłby młodym i zakochanym, gdyby się mógł był oprzeć tym słowom, którym towarzyszyło rozmarzone spojrzenie czarnych oczu czarodziejki. Przekonał się że źle uczynił, wyrzucając jej tę promienną wesołość — wszak on w niej kochał właśnie to dziecko wesołe, kierujące się sercem, nie rozumem i rozwagą..

(C. d. n.)

gospodarować? Kto tego nie robi, zginie niechybnie.

Wreszcie: pracujmy i oszczędzajmy, aby nam nie brakło chleba powszedniego, bo gdy popadniemy w ogólną nędzę, to upadniemy na duchu i na umyśle i staniemy się niewolnikami".

Sprawy sejmowe.

Z liczby spraw administracyjnych, które przyjdą pod obrady Sejmu w zbliżającej się sesji, ważne miejsce zajmuje sprawa ustanowienia statutu emerytalnego dla urzędników i sług krajowych. Dotąd wymierzał Wydział krajowy pensje emerytalne wedle zasad przez rząd przyjętych, które jednak nie odpowiadają dzisiejszym stosunkom społecznym i ekonomicznym. Zasady te pochodzą z zeszłego stulecia, a zatem z czasów, kiedy wartość pieniędzy i cena artykułów żywności tak znacznie różni się od wartości dzisiejszych pieniędzy i od obecnych cen wiktuałów, że chcieć dalej opierać na stosunkach zeszłego wieku wysokość zaopatrzenia wdów i sierót, byłoby nie tylko największą niesprawiedliwością, ale i nieludzkością.

Uznał to Sejm przekazując zbiorową petycję urzędników i sług krajowych tudzież urzędników i sług zakładów krajowych uchwałą z 16 stycznia b. r. Wydziałowi krajowemu do zbadania i przedłożenia na przyszłej sesji statutu emerytalnego, a komisja administracyjna w wniosku nad pomienioną petycją podniosła konieczność zmienienia dotychczasowych, zastarzałych zasad emerytalnych.

Wydział krajowy przedkładając obecnie nowy statut emerytalny kierował się przewodnią myślą, że niezbędnem jest poprawienie doli wdów i sierot po urzędnikach i sługach kraju, lecz zarazem nie mógł spuścić z oka ubóstwa naszego funduszu krajowego, obarczonego niezliczonemi a koniecznemi wydatkami. Starał się więc pogodzić te interesa obu stron, w djametralnej sprzeczności stojące, tak, aby z jednej strony najsłuszniejszym wymaganiom — ale tylko takim — zadość uczynić, z drugiej zaś strony nie obarczyć zanadto funduszu krajowego.

Przy redakcji statutu posługiwał się Wydział krajowy wzorami, używanemi w innych krajach koronnych, a to w Czechach, na Szląsku, na Bukowinie, w Karyntji, Istrji, Austrji niższej i wyższej, oraz statutami emerytalnemi pierwszorzędnych instytucyj prywatnych w kraju i monarchji, a wreszcie zasadami emerytalnemi przyjętemi przez rząd.

Z materjału tego wybrano to, co dla sił finansowych kraju, dla naszych stosunków i dla słusznych wymogów funkcjonarjuszów krajowych zdawało się najodpowiedniejszem.

Tak zredagowany statut obejmuje na czele postanowienie, że pensję emerytalną otrzymać i przekazać jej część swoim wdowom i dzieciom mają prawo wszyscy urzędnicy i słudzy Wydziału krajowego, urzędnicy i służba na drogach krajowych a dalej wszyscy funkcjonarjusze zakładów krajowych tj. szpitali we Lwowie i Krakowie, zakładu obłąkanych w Kulparkowie, szkół rolniczych i t. d. Dla urzędników postanawia statut 35 lat czynnej służby dla dosłużenia się zupełnej pensji emerytalnej, dla sług lat 40, oznaczając, że każdemu z funkcjonarjuszów krajowych, ktoryby po 10 latach służby czynnej został przeniesiony w stan spoczynku, należy się pensja emerytalna w wysokości 40 prc. ostatniej jego płacy, a za każdy następny rok czynnej służby otrzymają urzędnicy $^{24}/_{10}$, słudzy 2 prc. ich ostatniej aktywalnej płacy.

Równocześnie przyznaje obecny statut pensje dla wdów i zasiłki na wychowanie dzieci po urzędnikach krajowych. Wdowy po radcach Wydziału krajowego i po nadinżynierze otrzymywać będą po 800 zł. rocznej pensji, wdowy po sekretarzach, inżynierach, dyrektorze oddziału rachunkowego i jego zastępcy, po dyrektorze kancelarji Wydziału, po kasjerze, nakoniec po dyrektorach szpitali krajowych i zakładu w Kulparkowie dostaną rocznie po 700 zł., a wdowy po wszystkich innych funkcjonarjuszach krajowych otrzymają połowę ostatniej płacy męża, lecz nie więcej, jak po 600 zł. rocznie.

Na wychowanie sierot po funkcjonarjuszach krajowych wyznacza statut dla każdego po dziesiątej części tej pensji, jakie matka ich pobierać będzie lub pobierać miałaby prawo, a to dziewczęta do ukończenia 18, a chłopcy do ukończonego 20 roku życia.

Pod płacą ostatnią, wedle której będzie obliczana pensja emerytalna, jak niemniej pensje wdowie, rozumie się wedle § 30 statutu płacę stałą wraz z przyznanemi już lub należącemi pięciolotniemi dodatkami, lecz z wyłączeniem dodatków aktywalnych, osobistych, ryczałtów, wartości dodanego do płacy: pomieszkania, opału, światła, wiktu i t. p. Dla braku miejsca nie możemy podać całej osnowy statutu emerytalnego, zawierającego w siedmiu rozdziałach 37 paragrafów, lecz z przyjemnością możemy skonstatować, że z całej jego treści wieje troskliwa piecza o byt wysłużonych urzędników krajowych i o zabezpieczenie losu ich wdowom i sierotom, obok pilnego przestrzegania, aby zbytniemi wydatkami nie narazić fundusze krajowe na nadmierne wydatki.

Mały Fejleton.

DZIECI.

Ogród miejski.

Dzień powszedni. Godzina 4ta po południu. Pogoda ładna.

Ogród zaczyna się napełniać dziećmi. Po twardych i szerokich alejach, biegają chłopcy i dziewczynki. Słychać lekki turkot małych wozków z niemowlętami i szybszy, energiczny welocypedów. Ławki alei głównej prawie puste. W bocznych alejach siedzą matki, najczęściej samotne z książkami i robótkami w rękach i bony w grupach po dwie lub trzy, z nachylonemi ku sobie głowami, rozmawiające szeptem o... miłości.

Przyjaciel dzieci wchodzi i dąży ku alei głównej; znajoma Mania wjeżdża mu na nogi obręczą.

Przyjaciel dzieci. Dzień dobry.

Mania (dyg.) Przepraszam pana.

Przyjaciel dzieci (z uśmiechem podnosi upadłą obręcz i z uśmiechem podaje ją Mani).

Mania. Dziękuję (dyg)

Przyjaciel dzieci. Dokądże to Mania się tak śpieszy?

Mania. A tam (pokazuje palcem).

Przyjaciel dzieci. A Wandzia jest w ogrodzie?

Mania. Jest, ale my się gniewamy.

Przyjaciel dzieci (uśmiecha się). O! doprawdy. A! to nie wypada, aby dwie tak ładne panienki gniewały się ze sobą. Czy Wandzia przyszła dziś z papą, czy z boną?

Mania. Z boną.

Przyjaciel dzieci. I gdzież ona?

Mania. Wandzia? tam (pokazuje palcem).

Przyjaciel dzieci. A bona?

Mania. Bona tam.

Przyjaciel dzieci uśmiecha się do Mani i idzie w kierunku jej paluszka. Mania popędza obręcz i biegnie dalej. Przyjaciel dzieci spotyka Wandzię, skaczącą przez sznurek, uśmiecha się do niej i z podziwem mówi:

— Jak prędko!

Poczem podchodzi do bony i kłania się. Bona podaje mu rękę. Przyjaciel dzieci siada obok niej na ławce i zaczyna rozmowę.

* * *

Klocia, lat osiem i jej braciszek Munio, lat sześć, z wielkim mozołem rysują na ziemi „klasy", w bliskości gimnazista z wstępnej klasy, umawia się z marynarzem o partję „klas".

Gimnazista. Co kawaler stawia na moję Francję z Napoleonem?

Marynarz. Zaraz...

Rozkładają albumy z markami. Marynarz stawia Amerykę trójkę. Gimnazista ogląda, czy nie fałszowana. Ugoda staje...

Oglądają się za miejscem odpowiedniem na „klasy"; gimnazista spostrzega Klocię i Munia nachylonych nad ziemią, przy kreśleniu linji.

Gimnazista. Chodźmy tam; spędzimy ich.

Marynarz. A dobrze!

Przybliżają się... w tem marynarzowi przychodzi idea do głowy.

Marynarz (zatrzymuje za rękę gimnazistę). Poczekajmy, niech skończą.

Klocia i Munio kończą rysowanie „klas"; gimnazista i marynarz czekają na to, poczem zajmują wyrysowany teren.

Gimnazista (z uprzejmością). Niech sobie panienka gdzieindziej poszuka miejsca.

Klocia (oburzona). Kiedy to my wyrysowaliśmy.

Marynarz. O! to nasze miejsce oddawna. My tu codzień gramy. Jak Bozię kocham. Niech się panienka zapyta kogo chce.

Munio chce się stawiać. Klocia ostyga pierwsza i odciąga brata od awantury. Tymczasam gimnazista z marynarzem wyrzucają się na „orzeł czy reszka", o to, kto pierwszy zaczyna.

* * *

Wchodzi pan, który nie lubi dzieci. Skręca w boczną aleję szukając samotności. Na wprost niego pędzi Wicuś w całym biegu welocypedu.

Pan który nie lubi dzieci (usuwając się na bok). Uważniej smarkaczu!

Siada na ławce, wyjmuje notes, ślini ołówek i spogląda myślącym wzrokiem na wierzchołki kasztanów.

Z głównej alei leci piłka... Przelatuje nad szeregiem krzewów, unosi się po nad wklęsłym kobiercowym trawnikiem, mija dwóch panów, przechodzących boczną aleją i spada na podniesiony do góry nos pana, który nie lubi dzieci. Binokle spadają demonstracyjnie z nosa.

Pan który nie lubi dzieci (zirytowany). Kto to? kto to? (nie widząc sprawcy mruczy), że też to policja... na takie rzeczy...

Podnosi binokle, chowa ołówek i notes i przechodzi w inne miejsce.

* * *

Milcia lat dziewięć, jasna rumiana, blondynka, włosy przewiązane błękitną wstążką i rzucone wolno na plecy. Sukienka do kolan, perkalikowa, granatowa w białe kratki, w tyle marszczona. Słomkowy kapelusik w ręku. Pończoszki jasno niebieskie.

Lunia w równym z Milcią wieku szatynka, cera blada, chorowita. Szary płaszczyk za kolana zapięty na wielkie, kuliste guziki rogowe. Na głowie budka słomiana. Pończoszki ciemnokawowe.

Idą razem przez aleję główną bawić się w „która godzina".

Zbliżają się do siedzącego na ławce pana z dużym brzuchem, na którym wisi gruba złota dywizka.

Milcia. Proszę pana, która godzina?

Pan z dużym brzuchem (uśmiecha się). W te chwilkę. (Wyjmuje powolnie złoty, emaljowany zegarek i dosyć długo wpatruje się w cyferblat). Za pięć minut piąta.

Milcia. Dziękujemy (obie dyg).

Oddalają się.

Lunia. Teraz ja się zapytam, a potem znowu ty i tak będziemy na przemiany.

Podchodzą do młodego pana, który ma cienką, stalową dywizkę; Lunia zapytuje o godzinę.

Młody pan. (Wyjmuje mały srebrny ankier). Za trzy minuty piąta.

Lunia. Dziękujemy (obie dyg).

Idą dalej...

Podchodzą do pana, który na dywizce nosi kluczyk od szafki.

Milcia. Proszę pana, która godzina?

Pan, który nosi na dywizce kluczyk od szafki (bardzo szybko) szósta.

Milcia. Dziękujemy (obie dyg).

O kilka ławek dalej siedzi pan, który nie lubi dzieci, wyjął był z kieszeni notes, poślinił ołówek i myślącym wzrokiem spogląda na wierzchołki kasztanów.

Dziewczynki zbliżają się do niego.

Lunia. Proszę pana, która godzina?

Pan, który nielubi dzieci. (Bardzo szorstko). Nie mam zegarka. Proszę mi nie przeszkadzać.

Dziewczynki oddalają się zmięszane, markotne, z powarzonemi minkami... odchodzi im ochota do dalszej zabawy w „którą godzinę."

* * *

Na rondzie od ulicy Kraszewskiego kilkunastu chłopców zaczyna się bawić w „Rynaldiniego."

Jedno z drzew obrano za fortecę.

Los, tym razem naprawdę ślepy, oznacza rolę każdego w zabawie. Jeden z chłopców zakrywa oczy czapką, łokciami opiera się o fortecę i nadstawia plecy. Inni podchodzą do niego po kolei i uderzają ręką w plecy; źli uderzają silnie. Po każem uderzeniu chłopiec z zakrytemi oczami wykrzykuje:

— Rynaldo!
— Żołnierz!
— Szpieg!
— Rynaldo!
— Żołnierz!
— Przy fortecy!

W ten sposób wybrano trzech Rynaldów i dwóch szpiegów. Czterech żołnierzy ma bronić fortecy... Innym przeznaczono tępić ród bandytów.

Rynaldowie przybierając rycerskie miny oddalają się: jeden z nich, najstarszy, samowolnie obejmuje dowództwo, zaczynając swoje rządy od proklamacji do żołnierzy:

— A pamiętajcie! że zanim się do stu nie policzy, nie wolno gonić!

Poczem następuje proklamacja do kolegów bandytów:

— Jeżeli którego złapią, a wyda hasło, to dostanie takiego kopsa, że długo popamięta.

Obierają hasło. Naradzają się w którę stronę się udać. Postanawiają ukryć się w krzakach i w razie niebezpieczeństwa wymknąć się na ulicę Kraszewskiego.

Uciekają, oglądając się na pułk żołnierzy, skupiony w około fortecy; szpiegowie wysunęli się już chyłkiem naprzód i śledzą bandytów, mięszając się pomiędzy spacerującą publiczność.

Tymczasem jeden z żołnierzy liczy głośno i szybko, dopuszczając się nadużyć; po „sześćdziesiąt jeden" nastąpiło bowiem „siedmdziesiąt dwa" bezpośrednio. Nikt na to nie zwraca uwagi... Wojsko to bowiem szczerze republikańskie, nie ma wcale wodza i natchnienie każdego żołnierza jest jedyną panującą tu strategją.

Wreszcie liczący żołnierz wykrzykuje:

— Stooo!

Na okrzyk ten rozbiegają się żołnierze po ogrodzie, szukać bandytów.

Przy fortecy pozostaje kilku tylko jej obrońców na warcie, i ci dla zabicia czasu zaczynają grać „w klasy" na marki.

Gdy który z bandytów zostanie złapany, gra traci pozór zabawy. Twarze się rozpłomieniają, pięście zaciskają, oczy nabierają dzikiego blasku. Wloką złapanego do fortecy, rozrywając na nim ubranie, gdy się opiera silnie. Przy fortecy okrążają go w około ścisłym pierścieniem, z groźnemi minami wołając:

— Hasło! powiedz hasło!

Biedny zbój ma przed sobą prawdziwych wrogów. Jeżeli milczy uparcie, przewracają go na ławkę i biją witkami. Tchórze wydają hasło za pierwszem silniejszem uderzeniem. Zuchy zaciskają zęby.

Nie gniewajcie się więc ojcowie na synów, gdy powrócą z ogrodu w porozrywanem ubraniu. Nie martwcie się matki na widok guzów i siniaków, jakie chłopcy przynoszą na ciele do domu. Albowiem ci malcy — to bohaterowie.

* * *

Przy altanie „rond" z chłopców do lat sześciu i dziewczynek do lat jedenastu. Dziewczynek bardzo znaczna większość. Bawią się w „bąka." W środku koła stoi szczupła, żywa, dziesięcioletnia czarnuszka, o kruczych włosach i śniadawej cerze — to bąk! Rond wydaje jej rozkazy niezbyt zgodnym tonem.

— Bąku! wstawaj!

Bąk staje w środku koła wyprostowany.

— Bąku! umyj się!

Bąk pociera rączkami kilka razy twarz, jak przy myciu.

— Bąku! ubierz się!
— Bąku! zmów pacierz!
— Bąku! wypij śniadanie!
— Bąku! kup sobie buty!

Bąk ubrany, po pacierzu i śniadaniu, wybiega na chwilę z koła i powraca wystawiając bucik.

— Za małe! — krzyczy kapryśnie rond.

Bąk wybiega kupić sobie inne buty.

— Za duże!

Biegnie znowu.

— Za czarne!
— Za krzywe!
— Za proste!
— Za brzydkie!
— Za ładne!

W końcu bąk zdołał dobrać sobie odpowiednie buty, bo rondo zadecydowało:

— Dobre!

Bąk szykuje się teraz do ucieczki; drobne rączki, stanowiące spojenia koła, zaciskają się.

Bąk obchodzi dokoła, badając sytuację.

— Jak ta brama?
— Żelazna.
— Jaka ta brama?
— Złota.

Dalej jest brama stalowa, słomiana, deszczana, srebrna, papierowa, zielona, czerwona...

Bąk (przygotowując się do ataku, zadaje przedwstępne dyplomatyczne pytania): — Czy jechała tu moja mama z czarnym pieskiem?

Rond. Jechała.

Bąk. A przepuściliście ją?

Rond. Przepuściliśmy.

Bąk. A mnie przepuścicie?

Rond. Nieee.

Bąk rzuca się na bramę słomianą, chcąc impetem całej swej osoby rozerwać dwie zaciśnięte rączki. Słomiana brama wytrzymuje atak zwycięsko. Bąk rzuca się na bramę stalową, rozrywa ją i ucieka. Rond rozsypuje się, goniąc bąka.

Pan, który nie lubi dzieci przypatrywał się grze w bąka (do siebie): — Czy jechała tu moja mama z czarnym pieskiem?! Jakie to mądre?

Chowa notes i ołówek. Opuszcza ogród. Wchodzi do cukierni, każe sobie podać szklankę białej kawy i tacę drożdżowych ciastek. Siada przy marmurowym stoliku, rozkłada notes, wyjmuje ołówek i zaczyna pisać... wiersze. Jest to bowiem jeden ze znanych poetów.

* * *

Trawnik od ulicy Mickiewicza czerwieni się od kraśnych gorsetów. Pełno mamek z bobami na miesiące dopiero liczącemi swoję wędrówkę na padole płaczu. Słuchać grzechotki, śmiechy i to pełne tajemniczego znaczenia:

— Aaaaaa!...

Mały Wacio zaczyna płakać.

Mamka. Co ci to Waciu? co?

Wacio (z namysłem, nie przestając płakać) ta... ta...

Mamka. Co? tata? Wołaj Waciu taty! wołaj! Taaata! taaata! Chodź do Wacia. Chodź! A to hycel tata! nie chce przyjść do Wacia!

Z ulicy Mickiewicza wchodzi pan z panią pod rękę.

Pani (prosząco). Przejdźmy w około trawnika dla dzieci.

Pan (niechętnie). Alež to będzie dalej...

Pani. Wszakże mamy czas, mój Stasiu.

Idą pustą i nieuczęszczaną ścieżką w około trawnika.

Pani (tuląc się do ramienia pana) Jakie to rozkoszne te boba, mój Boże! jakie to rozkoszne.

Pan wzdycha.

* * *

Chłopczyki do lat dziesięciu postanawiają bawić się w „gęsi".

— Kto będzie wilkiem?

Ponieważ znajduje się kilku amatorów na rolę wilka, ktoś krzyczy:

— Na kogo wypadnie! na kogo wypadnie!

Stają w kółko.

Jeden z chłopców (wodzi palcem w koło, za każdym słowem dotykając po kolei każdego chłopca). Entliczek, pentliczek, czerwony stoliczek, na kogo wypadnie, na tego brzdęc!

Brzdęc wypadło na wysokiego wyrostka, który z zadowolnieniem oddala się; gęsi stają naprzeciw niego w niewielkiej odległości szeregiem.

Wilk (proponuje). Hura gęsię na pole!!

Gęsi (nie głupie). Boimy się!

Wilk. Kogo?

Gęsi. Wilka.

Wilk. Gdzie jest?

Gęsi. Za płotem.

Wilk. Co robi?

Gęsi. Klekoce.

Wilk. Co pije?

Gęsi. Pomyje.

Wilk. Co gryzie?

Gęsi. Kości.

Wilk. Hura gęsi na pole!!

Gęsi nie mogą się oprzeć tak uprzejmemu zaproszeniu, kończącemu tą miłą konwersację. Wybiegają na pole. Wilk napada na nie...

* * *

Czy pamiętasz czytelniczko, te spacery po ogrodzie, parami, gdyś to ubierała się jeszcze w gładkie bronzowe sukienki, przystrojone czarnemi fartuszkami?

Nudne to były rozrywki, pozbawione wesołości i swobody, pod okiem surowej „madame", idącej w ostatniej parze.

Podczas pięknej pogody obchodziła pensja parę razy ogród w około obrzucana kiedy niekiedy szyderczemi okrzykami wyrostków:

— Hura gęsi na pole!...

* * *

Zmrok.

Trawnik dla dzieci wyludnia się... koszykowe wózki dążą ku domowi.

Bony chowają robótki w koszyczki i powoli przeciągają przez aleje, uprowadzając niechętnych Kaziów i Michasiów, którzy nigdy nie mogą się nasycić do woli zabawą. Manie i Wandzie wracają do domu weselej nieco, przeskakując po drodze przez sznurki.

W ogrodzie pozostają tylko starsi chłopcy, którzy w pustoszejących alejach rozpoczynają grę w „czarnego luda", tak doskonale udającą się wśród zmierzchu.

— Czy boicie się czarnego luda?

— Nieeee!

* * *

Wieczór...

Ogród układa się do snu. Gdzie niegdzie tylko jeszcze dają się widzieć ślady życia. Kilkanaście latarni prześwieca rzadkim przechodniom.

Ostatni już mali maruderzy wracają do domu. Czapki w rękach, chustkami ocierają spocone czoła. Dla nich dziś się skończyło. Myślą o jutrze...

..Jutro... Trzeba będzie wstać o ósmej. Włożyć książki potrzebne do tornistra, bułkę z masłem w jedną kieszeń, piłkę w drugą. Pierwszy będzie niemiecki, druga łacina, trzecia arytmetyka. Potem wielka pauza, w czasie której tak doskonale gra się w „ekstra". Potem jeszcze geografja, powrót do domu, potem obiad... a potem... znowu zabawa, znowu szerokie aleje ogrodu, znowu „klasy", „Rynaldo-Rynaldini" i „czarny lud"...

* * *

Nie brońcie rozrywek dzieciom.

Niech w każdą wolną chwilę bawią się całą duszą, z zapomnieniem o wszystkiem, tak, jak tylko oni bawić się umieją.

Wszak wiecie, że tak dobrze jak teraz, nie będą się oni już bawić nigdy, nigdy w życiu.

Kronika.

Lwów, dnia 1 września.

Dar. Najj. Pan ofiarował ze Swej prywatnej szkatuły gr. kat. komitetowi w Rozdziałowie, powiatu sokalskiego, zapomogę 200 zł. na wykończenie budowy tamecznej cerkwi.

Mianowania. C. k. Rada szkolna krajowa zamianowała, Józefa Skowrońskiego, nauczycielem kierującym szkoły w Ładyczynie; Edwarda Gutkowskiego, nauczycielem szkoły etatowej w Grybowie; Jana Zarembę, nauczycielem szkoły etatowej w Siedliskach (Bogusz); Julję Jędrzejowską, nauczycielką szkoły siedmioklasowej żeńskiej w Brodach; Stanisławę Joannę Kulikowską, nauczycielką szkoły etatowej w Lipnikach.

Wydział krajowy zamianował wikarego z Niepołomic ks., Mateusza Jerza, kapelanem przy średniej szkole rolniczej w Czernichowie w miejsce ks. Tadeusza Chromeckiego, który został rektorem zgromadzenia Pijarów.

Dr. Stanisław Miziewicz, mianowany został aplikantem konceptowym Wydziału kraj.

JE. ks. metropolita Sembratowicz powrócił z Perechińska do Lwowa, a z powodu zwołania Sejmu została odwołana wizytacja kanoniczna dyecezji, zapowiedziana na wrzesień.

Do Rady powiatowej w Złoczowie został wybrany z grupy większych posiadłości p. Mieczysław Komarnicki, właściciel dóbr Jarosławice.

Wybory do Sejmu. Z Jarosławia donoszą do jednego z tutejszych dzienników, że jako kontrkandydat p. K. Bartoszewskiego o mandat do Sejmu miał wystąpić p. Micewski.

Od centralnego Komitetu przedwyborczego dla Zachodniej Galicji otrzymujemy następujące pismo:

Komitet centralny przedwyborczy dla zachodniej części Galicji i Krakowa, na posiedzeniu swojem w dniu dzisiejszym zatwierdził przedstawione przez Komitety przedwyborcze okręgowe kandydatury na posłów do Sejmu z okręgów wyborczych mniejszej własności jasielsko-brzostecko-frysztackiego i pilznieńsko-dębickiego.

Mianowicie: na okręg wyborczy jasielsko-brzosteczko frysztacki zatwierdził Komitet centralny kandydaturę hr. Franciszka Mycielskiego, przedstawioną na pierwszym miejscu przez Komitet przedwyborczy wymienionego okręgu, gdyż na zgromadzeniu Komitetu okręgowego oświadczyła się za tą kandydaturą przeważna większość, bo na 32 głosujących głosowało za nią 20 członków tegoż Komitetu, zaś za kandydaturą p. Wojciecha Biechońskiego 9 głosów, a 3 głosy za kandydaturą p. Stanisława Kotarskiego. Na okręg wyborczy pilznieńsko dębicki zatwierdził Komitet centralny kandydaturę księdza Antoniego Piątkowskiego, proboszcza w Straszęcinie, przedstawioną na pierwszem miejscu jednomyślnie przez Komitet przedwyborczy wymienionego okręgu, gdy kandydaturą drugą dra Ludwika Midowicza, prezesa Rady powiatowej pilznieńskiej, przedstawił Komitet okręgowy na drugiem miejscu.

O zatwierdzeniu kandydatur: hr. Franciszka Mycielskiego i ks. Antoniego Piątkowskiego na posłów z okręgów wyborczych mniejszej własności: jasielsko-brzosteczko-frysztackiego i pilznieńsko-dębickiego, zawiadomił Komitet centralny w dniu dzisiejszym telegramami prezesów. Komitetów okręgowych i wymienionych kandydatów polecił szanownym wyborcom.

W Krakowie 30 sierpnia 1888 r.

W imieniu Komitetu central. przedw.
przewodniczący
Leon Chrzanowski.

Lutnia. Zarząd lwowskiego Towarzystwa śpiewackiego „Lutnia" zaprasza wszystkich członków chóru mięszanego na próbę, która się odbędzie w poniedziałek dnia 3 września b. r. w sali Towarzystwa.

Prawo patronatu. *Neue Fr. Presse* donosi, że ministerstwo wyznań i oświaty przygotowuje projekt do ustawy w sprawie wykupna prawa patronatu.

Liweranta żywego ludzkiego towaru aresztowała przedwczoraj policja lwowska. Jest to tutejszy żydek Bernard Turteltaub, który trudnił się wywozem tego towaru ze Lwowa i Przemyśla na Wschód. Towaru dostarczało mu głównie jego własne plemię. Między innemi wywiózł on świeżo do Konstantynopola żydówkę osiemnastoletnią Schneidę Mehlmann, która mając iść niebawem zamąż, zapragnęła przedtem zwiedzić bezpłatnie stolicę Turcji i uzbierać sobie nieszpetny posażek.

Czy i to nie *geschäft?*

Nekrologia. Dnia 14 sierpnia b. r. zmarł w majątku swoim Medwedówka wielka w powiecie konstantynowskim na Wołyniu Jerzy Tadeusz Stecki w wieku lat około 40. Po ukończeniu nauk w uniwersytecie kijowskim, zamieszkał w domu rodzicielskim i oddawał się głównie studjom historycznym i archeologicznym. Powstanie 1863 wyrwało go z domu rodzicielskiego, służył z odznaczeniem w oddziale jenerała Różyckiego i z nim wkroczył do Galicji. Niepokojony przez rząd austrjacki opuścił kraj, mieszkał czas dłuższy w Dreznie i Brukseli. Po dwóch latach pobytu za granicą, wrócił do ojczyzny, stawił się przed sądem wojennym w Żytomierzu i za przewinienia polityczne, wysłany został na mieszkanie do Orenburga. Obdarzony wolnością po upływie lat dwóch, mieszkał na Wołyniu w majątku swoim i zajmował się prócz gospodarstwem literaturą. Wydał powieść „Stary Dwór". Dzieło 2 tomowe o Wołyniu, liczne monografje miast Łucka, Równego, Międzyrzeca. Pisywał wiele artykułów do pism warszawskich, krakowskich, najwięcej w przedmiocie archeologji. Dzieła jego były cenione. Wykształcony, miły towarzysz, zostawia żal szczery u wszystkich, którzy go znali — cześć Jego pamięci.

Julja z Towarnickich Schie, wdowa po kupcu i obywatelka miasta Lwowa zmarła w 66 roku życia

Z Petersburga donoszą do *Polit. Corresp.*, że carowa powróci dnia 5 września do stolicy nad newskiej. W tym samym czasie wróci car z Ilińska do Petersburga, poczem oboje carstwo udadzą się do Elizawetgradu na wielkie manewra jesienne wojsk z gubernij chersońskiej i charkowskiej.

Z Niżniowa nam piszą pod datą 29 sierpnia. Zeszłej nocy wybuchł w rynku tutejszego miasteczka ogromny pożar, który w obec nieporadności tutejszej mieszkańców w podobnych wypadkach i przy gęstych zabudowaniach żydowskich zagrażał całemu miastu. Uratowało się zaś ono dzięki tylko energji pp. urzędników tutejszej stacji kolejowej i służby, którzy przy pomocy sikawki stacyjnej zdołali ogień na tyle zlokalizować i odciąć od reszty przyległych budynków, że spłonął tylko dom rabina, w którym pożar powstał i część bóżnicy żydowskiej.

Dr. Władysław Tatarczuch po kilku tygodniowych ferjach powrócił wczoraj do Lwowa i ordynuje jak zwykle.

Nadużycia rosyjskiej straży granicznej. Otrzymujemy z bardzo poważnej strony z Chwałowic następujący list:

Dnia 25 sierpnia zdarzył się na granicy następujący wypadek. Pastuch dworski Franciszek Tys, lat 35 mający, człowiek spokojnego usposobienia, zawsze trzeźwy, pasł bydło w lesie dworskiem nad granicą Królestwa. Z powodu upału i dręczony przez muchy rozbiegł się jałownik po lesie, i część przeszła przez granicę do lasu rządowego w Borowie. Widząc to strażnik rosyjski zaczął zaraz bydło zabierać jako przemycone, a na prośbę pastucha przyrzekł w końcu odstąpić od zajęcia jeżeli pastuch przyniesie rubla i flaszkę wódki. Przestraszony pastuch pobiegł po wódkę do karczmy na Ludwin i pożyczył sobie rubla od szynkarki. Kiedy wrócił, jałownik uciekł na powrót do lasu Chwałowskiego a moskal odebrawszy od pastucha wódkę i pieniądze zaczął krzyczeć, że złapał szwarcownika. Przybiegło jeszcze dwóch obieszczyków i podpiwszy sobie związali pastucha i tak kolbami obili, że padł bez przytomności. Najważniejszą rzeczą jest to, że działo się to wszystko na terytorjum austrjackiem bo moskale chcąc zatrzymać bydło wbiegli do naszego lasu i tam przyszedł do nich pastuch z wódką. Następnie wziąwszy nieprzytomnego pastuch na powróz ściągnęli go moskale do granicy i zanieśli na strażnicę na Łysij Gurce, gdzie mieszka kapitan posterunku. Całą tę sprawę widziało dwunastu kosiarzy z Łążka i nie żałowali biedaka bo to byli szwarcownicy, którzy z moskalami są w porozumieniu i nie chcieli im się narazić.

Kiedy obszarowi dworskiemu dano znać o wypadku, pojechał rządzca do kapitana, aby dowiedzieć co się dzieje, ale ten jak szykle nic nie wiedział, dopiero razem poszli do koszar żołnierskich i zastali Tysa leżącego bezprzytomnego, zbroczonego krwią a obok śmiejących się żołnierzy. Chcieliśmy go wziąć, ale kapitan nie pozwolił, mówiąc, że musie zdać raport do Janowa. Wieczorem wysłali moskale Tysa bez pomocy lekarskiej do Janowa i na wozie w miasteczku Zablikowie skończył życie.

Sądzę, że władze nasze upomną się o to i przeprowadzą szczegółowe śledztwo i będą żądać ukaranie bezprawia. Najpierw powinni być ukarani żołnierze, a następnie kapitan, który zostawił człowieka bezprzytomnego pięć godzin bez pomocy lekarskiej.

Żołnierze tłómaczą się, że Tys się upił jednak to tłómaczenie nieprawdziwe zbiją nasi chłopi z Łązka, którzy całą tę scenę widzieli.

O nieszczęśliwym wypadku, który spotkał radzcę dworu, dyrektor policji krakowskiej, p. Englischa, przynosi *Czas* dzisiejszy następujące bliższe szczegóły, oparte na opowiadaniu osób, które były na miejscu wypadku: P. Englisch wracał z Zakopanego wraz z rodziną powozem p. Herza. Właśnie powóz jechał pod górę Obidowę, gdy koło jedno wpadło pod powóz. Powóz pochylił się, dyszel skręcił, czem przestraszone konie zaczęły się rzucać i wierzgać. P. dyrektor Englisch wyskoczył z powozu, chcąc chronić żonę i dziecko — i wówczas koń uderzył go kopytem w twarz. Z bólu i skrwawiony usunął się na bok i oparł się o barjerę — wtedy okazało się że oko mu wyciekło i nos ma złamany. Z pomocą pospieszył dr. Baranowski z Warszawy, wracający również z Zakopanego. Rodzinie p. Englischa nic się nie stało. Cierpiącego bardzo radzcę Englischa przewieziono następnie po Klikuszowy, gdzie zamieszkał u p. Silbersteina. Przewiezienie p. Englischa do Krakowa będzie możliwem, jeżeli kość czołowa lub czaszka jest nieuszkodzona.

W Tatrach. W czasie przeprawy do Morskiego Oka, ks. Dobrowolski z Gniezna pośliznął się i spadł w przepaść. Nieszczęśliwego odszukali dopiero w kilka godzin górale i zanieśli do chaty. Przypadkowo nadeszli właśnie dwaj lekarze, którzy ciężko

kaleczonego kapłana przywrócili do przytomności i zrobili nadzieję ocalenia jego życia.

Z Jezierny nam piszą pod datą 30 sierpnia: „Miasteczko nasze dnia wczorajszego żegnało z prawdziwym żalem dotychczasowego wikarjusza ks. Sołtysa, który obecnie do Baworowa przeniesiony został.

Przeniesieniem ks. Sołtysa wyrządzono niepowetowaną szkodę nie tylko naszej parafji, w której pod względem umoralnienia i zaprowadzenia trzeźwości położył ks. Sołtys ogromne zasługi, ale i tutejszemu proboszczowi ks. Żurawskiemu, dla którego jako staruszka bardzo podupadłego na zdrowiu, był prawą ręką.

Niniejszem składamy księdzu Sołtysowi za wszystko co dla nas robił staropolskie „Bóg zapłać.“

Halczewski.

Polacy w wojsku francuzkiem. Bardzo zajmujący obraz stosunków panujących w armji francuskiej znajdujemy w wychodzącem w Paryżu piśmie polskiem p. t. *Wolne Słowo* a mianowicie w artykule opisującym pobyt w Tonkinie. Już dla samej charakterystyki tych stosunków, pachnących mocno bezładem zupełnym i anarchją, a jeszcze bardziej ze względu na rodaków naszych, służących w wojsku rzeczypospolitej francuskiej, uważamy za stosowne, artykuł ten przez Polaka pisany, powtórzyć w całości. Opiewa on jak następuje:

Polaków w legjonie francuzkim, tak zwanym *légion étrangère*, dzisiaj nie ma wiele, a liczba nowo przybyłych coraz bardziej się zmniejsza. Gdym przybył do Afryki w 1884 roku, było ich zaledwie kilkunastu; w grudniu 1887 r. liczba ich zdwoiła się wprawdzie, lecz iść w porównaniu nie może z dawniejszymi czassmi, podczas wojen meksykańskiej, włoskiej i krymskiej, w których legjon czynny brał udział, wtenczas bowiem Polacy stanowili prawie trzecią część korpusu.

O ile dawniej Polacy chcieli służyć we francuskiem wojsku, o tyle dzisiaj przy obecnym zarządzie i organizacji służba ta im do smaku nie przypada. Każdy Polak bez wyjątku, dni kilka tylko w legjonie przebywszy, radby się wynieść, jak najprędzej. Wejść tam bardzo łatwo; wyjść jednak jest rzeczą prawie niemożebną. Opiszę tu w krótkości moje do legjonu wstąpienie.

Zapisałem się w Lyonie; odesłano mnie do Marsylji, gdzie po raz pierwszy zapoznałem się z moimi przyszłymi kolegami we forteczce St-Jean. Dwie sale pełne połamanych łóżek pokrytych brudnymi siennikami, bez prześcieradeł, ni kołder; kilkunastu obtargańców częścią na łóżkach leżących, częścią przy stole grających w karty: oto moja pierwsza kwatera i moi nowi towarzysze broni. Wszedłem do sali z hrabią Lanzdorfen, Rosjaninem, który podobnież, jak ja w łapkę wpadł. Wszyscy na nas oczy wytrzeszczyli, jedni się z łóżek podnieśli, drudzy grać przestali, widać było, że chcieli swoich świeżo przybyłych kolegów powitać; lecz mimowoli obadwajśmy się za drzwi wynieśli i do sali więcej nie powrócili. Kapitan dowódzca forteczki, dał nam pozwolenie w hotelu noc przepędzić. Na drugi dzień o 4tej z rana znajdowaliśmy się na parowcu, w drodze do Algieru.

W Algierze to samo, co w Marsylji z tem, że nas z koszar więcej puszczać nie chciano, bo, jak podanie głosi, za czasów kiedy wolno było z koszar wychodzić, zazwyczaj kilku, szczególniej ci, co jeszcze trochę pieniędzy posiadali — znikali. Pan hrabia smutno to po sali, to na swoich nowych towarzyszy spoglądał i po długim namyśle postanowił, że tam spać nie będzie. Poszliśmy więc do dowódzcy koszar i dostaliśmy pozwolenie zostać w mieście aż do dwunastej w nocy, lecz z warunkiem, że nam kilku podoficerów od żuawów towarzyszyć będzie. Kosztowała nas dosyć ta eskorta. O dwunastej w nocy gotowy na wszystko do koszar wróciłem; lecz hrabia wrócić nie chciał. O 2 z rana podpici podoficerowie przyszli mi oznajmić, że tam gdziem go zostawił, w łeb sobie z rewolwera palnął.

Tego samego dnia przybyliśmy do Sidi Bel-Abbès, depôt pułku w Oranie. Wprowadzono nas na dziedziniec i mimo zimna dość ostrego (byłoto 3 stycznia, a śnieg zazwyczaj o tej porze tam pada) rozebrać się nam kazano. Czekaliśmy pół godziny na dziedzińcu we własną swoję skórę tylko odziani na zimną kąpiel, którą nam dać miano, i na bieliznę wojskową, bo do koszar w brudnej bieliźnie cywilnej wejść niewolno rekrutowi. Ktoś pomyślałby sobie, że tam tak czysto. Wielu, przeglądając po kąpieli swoje rzeczy, albo zegarka nie znaleźli, albo pieniędzy im brakowało, a który z nich odważył się reklamować, pięścią w łeb dostał od podoficera, czem mu dano do zrozumienia, że takiemi drobnostkami w legjonie nikt się nie zajmuje. Inny znów dostał kułaka, bo skarżył się, że mu zimno; trzeci nogą w plecy, bo się żalił, że chory. Piękne przyjęcie młodych w pułku żołnierzy! Przespano noc na podłodze bez przykrycia, gdzie kto mógł to się położył. — W Algierze gdyśmy odjeżdżali, zapomniano nam zapłacić żołd, a w pułku nam powiedziano, że to ich [illegible] nie obchodzi; że nas uważają jako zapłaconych i nakarmionych aż do dnia następnego. Tej samej nocy przypomniano sobie, że jeden z młodych żołnierzy, który miał dwa miesiące służby, na schodach się powiesił.

Po kilkunastodniowym pobycie w Sadi-Bel-Abbès, kiedy każdy był ubrany, wyekwipowany i wyćwiczony w sztuce wojennej, odesłano nas w głąb Afryki. Do Geryville 14 dni marszu, do Tiaretu 11 dni po 30 kilometrów, 25 kilo na plecach, nie licząc strzelby i żywności, którą trzeba było brać ze sobą, i to po drogach gdzie w miesiącu styczniu po kolana w błoto się grzęzło. Naturalnie, że młodzi żołnierze gromadami po drodze ustawali. Dwaj znowu się na drodze zastrzelili, wielu zachorowało, a jakich trzydziestu ze wszystkich uciekło. (W przeciągu kilku dni Arabi i żandarmi ich połapali.) Na etapie, jeżeli deszcz, to gotować nie można, bo drzewa nie ma a trawa palić się nie chce, a jeżeli deszczu nie ma to nie ma wody. Po pięćdziesięciu przeszło latach Francuzi się na to nie zdobyli, żeby żołnierzom w Afryce (w Oranie) urządzić schronienia i w drzewo ich zaopatrzyć. Etap to pustynia; obok studni, w której zazwyczaj wody nie ma, albo nie ma jej czem wyciągnąć, bo studnie bardzo głębokie. Jednego razu piętnastu nas ciągnęło przez kwadrans blisko i wyciągnęliśmy ze dwa litry wody żółtej jak barszcz polski. Nareszcie znużeni, wygłodzeni, przymaszerowaliśmy i każdy z nas przydzielony został do kompanji, w której miał swoje pięć lat przepędzić.

Nie będę się rozwodził, opowiadając o wszystkich gwałtach i nieludzkości, jakim podlegają młodzi żołnierze ze strony oficerów jak i podoficerów, dosyć powiedzieć, że na 100 żołnierzy w przecięciu 5 życie sobie odbiera, 60 umiera z nędzy i wysilenia w Tonkinie i Afryce, 25 marnieje w więzieniach (*travaux forcés, a la Nouvelle Calédonie, travaux publics*), po większej części za dezercję i niesubordynację, a 10 zaledwie szczęśliwie swój czas przetrzymuje. Widać to dobrze z tego, że oddziały liczące po 60 do 100 ludzi co tydzień do legjonu przychodzą, a 5 do 10 zaledwie wysłużonych tygodniowo odchodzi. Muszę nadmienić, że wielu także się umyślnie kalekami robi (palec sobie ucinają, oko wykłuwają itd), ażeby się prędzej służby pozbyć.

Po kilku miesiącach pobytu w kompanji odsyłają młodego żołnierza do Tonkinu, albo w kolumnie w głąb Afryki, albo go używają do budowy dróg, do tłuczenia kamieni lub do budowy koszar, fortyfikacyj itd. Pieniądze, które ma zarobić przy tych robotach, mają służyć na polepszenie pokarmu; w rzeczywistości zaś wpadają w niezgłębione kieszenie furjerów i oficerów, którzy tam doskonałe interesa robią. Zuchwalec, którýby chciał się skarżyć, skazany bywa zazwyczaj na więzienie. Ileżto razy widziałem żołnierzy proszących o kawałek chleba; kradli nawet czasem z głodu. Legjonista jest okradany, bity, gnębiony; jednem słowem los jego jest losem chyba psa u złego pana.

Przejdźmy do Polaków. Jakem już wyżej powiedział, żadnemu z nich służba w legjonie do smaku nie przypada. Gdy się Polacy razem zejdą wieczorem w niedzielę — szczególniej zaś młodsi żołnierze — o czem innem nigdy nie radzą, tylko jakby uciekać. Starsi wiedzą, że to niemożebne; więc młodszych od tego odwodzą i dobrą radę dają, aby się zupełnie poddać losowi. Dziwna też w nich z czasem następuje zmiana. O ile z początku zupełnie są zniechęceni, o tyle powoli nabierają otuchy i rezygnacji, to też prawie zawsze galonów się dosługują, a wtenczas lepiej już idzie.

W legjonie Polacy żyją z sobą w najlepszych stosunkach, nigdy się nie kłócą. Podoficer, kapral, żołnierz czy rekrut, schodzą się razem bez różnicy stopnia; kto ma pieniądze, ten płaci; gada się, pije, śpiewa, a o dziewiątej wieczorem razem do koszar wracają.

Najwięcej Polaków z Królestwa, następnie z Poznańskiego, najmniej z Galicji.

O ile ze wszystkich innych narodowości przybywają do legjonu ludzie nieoświeceni, wieśniacy lub robotnicy, skłonni do kradzieży, pijaństwa i próżniactwa, o tyle Polacy są wykształceni, inteligentni i pracowici. Wyszli oni za granice kraju albo jako przestępcy polityczni, albo z wojska drapnęli, albo wreszcie z zamiarem zobaczenia świata. Nieświadomość, zazwyczaj brak zarobku i utrzymania popchnęły ich do legjonu; każdy z nich przyszedł, myśląc, że w wojsku francuskiem żołnierzowi dobrze i że oficerami ich porobią.

Nie chcę wymieniać nazwisk znajdujących się obecnie w legjonie; nadmienię tylko, że jeden z nich był adwokatem w Warszawie, drugi kapitanem w wojsku rosyjskiem, trzeci rachmistrzem w banku, czwarty artysta dramatyczny, dwaj artyści malarze, jeden urzędnik telegraficzny, jeden aptekarz, dwaj krawcy, trzej szewcy, trzej studenci itd.

Zmarli za mych czasów w Tonkinie: Szczyciński, urzędnik z Królestwa Polskiego; Szydjobali (pseudonym) z Galicji, student Poniński i dwaj inni, których nie znałem. Dwóch Polaków i jednego Węgra (wszyscy trzej eksoficerowie austrjaccy) rozstrzelano w Hanoi za dezercję do Chin. (Chińczycy ich wydali po zawarciu pokoju.) Okołowicz z Paryża, syn emigranta, zamordowany został w Tonkinie przez podoficerów na tak zwanej *crapaudine*. Matka jego żądała śledztwa u jenerała Boulangera, ówczesnego ministra wojny w Paryżu. Oddano pod sąd wojenny trzech podoficerów i kapitana, lecz jak zazwyczaj uznano ich za niewinnych. Doktor pułkowy wystawił świadectwo, że to nie *crapaudine*, lecz tylko wódka go zabiła, i na tem się skończyło.

Jest w Tonkinie kilku Polaków, którzy występując w stopniu podoficerów z legjonu, dostali się do milicji tonkińskiej jako szefowie posterunków. Są to świetne stanowiska. Płaca pięć tysięcy franków rocznie. Odzienie, mieszkanie, a nawet życie prawie nic ich nie kosztuje, bo kaczek, kur, indyków, zajęcy, masła, jaj, owoców, zgoła wszystko wieśniacy w podarunku im przynoszą. Szef posterunku, jako reprezentant rezydenta jeneralnego i protektoratu, ma czasem kilkadziesiąt tysięcy ludności wraz z władzami annamickiemi pod swemi rozkazami. Przytoczę tu ustęp z listu jednego z rodaków.

„Obecnie jestem we wsi Lu-Yen o 12 wiorst z Thaï-Nguyen, uformowałem tu *poste de milice*; małe urocze cacko, w którem żyję i panuję jak udzielny książę. Mam ślicznego konika, doskonałą strzelbę, ładną kobiecinkę, tudzież tygrysów, jeleni, Chińczyków dodostatkiem itd.“

Szczęśliwy ten, któremu zdrowie w Tonkinie służy i klimat znosić może; ale ten co zachoruje i zdrowie straci, odejść musi z legjonu jako niezdatny do służby, bez grosza; czerwone spodnie tylko mu zostawią jako całe wynagrodzenie za pięcioletnią służbę w armji francuskiej.

Krokodyle czy kaczki? Przed paru dniami pojawiła się w dziennikach hamburskich wiadomość, że z pewnego okrętu, który przybył do Hamburga, wymknęło się 13 krokodyli i wszystkie skoczyły do Łaby.

Na podstawie tego doniesienia władze miejscowe zabroniły ludności używać w Łabie kąpieli.

Wiadomość ta wymaga pewnego uzupełnienia w tym kierunku, że rzeczone krokodyle okazały się właściwie kaczkami dziennikarskiemi. — Rzecz cała miała się tak:

Reporter, dostarczający dziennikom hamburskim wiadomości z bruku miejscowego, zachorował obłożnie; wysłał więc swoję żonę do znajomych urzędników portowych po informacje. Sezon ogórkowy dawał się czuć także i w porcie, więc wiadomości kwalifikujących się do drukowania było mało, a tymczasem pani reporterowa w zastępstwie męża potrzebowała zarabiać więcej niż zwykle, bo także na lekarza i aptekę. Nie widząc innego wyjścia, postanowiła pójść za przykładem wynalazców wężów morskich i słynnych wężów lwowskich, ssących żydówki, i zmyśliła historję o zbiegłych z okrętu krokodylach.

Cel został dopięty. Wiadomość o zbiegach obiegła wszystkie dzienniki europejskie, kieszenie reportera napełniły się, a nawet i policja doniesieniu dzienników uwierzywszy, poczyniła odpowiednie zarządzenia. — Tymczasem w kilka dni później kapitzn okrętu z którego krokodyle zbiedz miały, całą historję o nich nazwał wymysłem, a dziennikowi, który pierwszy o zbiegach poniósł, prokurator wytoczył proces o wprowadzenie w błąd władz policyjnych i narażenie wielu osób na straty.

50-letni Jubileusz. Korporacja rękawiczników tutejszych obchodziła w niedzielę 26. sierpnia b. r. niezwykłą uroczystość jubileuszową a mianowicie 50-letnią rocznicę pracy w zawodzie swego kolegi, towarzysza p. Śliwińskiego Ludwika, członka-inwalidy Stow. „Gwiazda“.

Tak majstrowie jako też towarzysze pracy jubilata, solidarnie wzięli w tej uroczystości udział. Przy skromnym podwieczorku składkowym, danym przez kolegów w sali Stow. „Gwiazda“, po serdecznem przemówieniu, wręczył p. Jan Spożarski wartościowy pierścień sędziwemu jubilatowi, ofiarowaby przez majstrów na pamiątkę uroczystej chwili, kiedy drugie już pokolenie, czcząc wytrwałą pracę i nieskazitelny charakter weterana w zawodzie, składa mu swoje serdeczne życzenia. Od towarzyszy kolegów otrzymał jubilat adres z podpisami wszystkich we Lwowie pracujących, na pamiątkę obchodu.

„Skała“ urządza w niedzielę (2 września rb.) w ogrodzie własnym przy ulicy Mickiewicza pod l. 28 ostatnią w tym sezonie zabawę towarzyską połączoną z przedstawieniem amatorskiem.

Dochód przeznaczony na fundusz kasy chorych członków stowarzyszenia.

Wycieczka niedźwiedzi. Z Dołhopola na Bukowinie donoszą, że w ubiegły wtorek po południu całe stado niedźwiedzi, które z głębokich lasów niewiadomo z jakiego powodu wyruszyło, wpadło do wsi Jakobeni na pasące się pod wsią bydło. Poszarpawszy kilkanaście sztuk, przebiegły niedźwiedzie przez wieś i uciekły dalej w lasy. Ludzie we wsi tak się przestraszyli, że nie stawiali napastnikom żadnego oporu

---

W ciszy.

Tak cicho, a jednak, jak gwarno w tej ciszy!
Natura modlitwę posyła do nieba...
Twe ucho modlitwę natury posłyszy,
Lecz naprzód ci duchem spotężnieć potrzeba.

W naturę ci trzeba się wcielić powoli,
Zespolić ze swemi jej ciche westchnienia,
A wówczas świat inny, jak sen, cię okoli,
Świat błogi, niebiański, jak dziecka marzenia.

Gdy myśl twa z przyrodą harmonję wytworzy
I staniesz przed światów wspaniałym obrazem
Uklęknij u tronu bożego podnóży.
A poznasz swą nicość i wielkość zarazem!

J. Niłowski.

Literatura i Sztuka.

* **Teatr.** Z dniem dzisiejszym rozpoczynają się na nowo przedstawienia w teatrze lwowskim hr. Skarbka. Dzisiaj „Pan Damazy“, komedja w 4 aktach Józefa Blizińskiego. Jutro w niedzielę „Fedora“, dramat w 5 aktach Wiktoryna Sardon.

Przedstawienia rozpoczynać się będą o godz. 7 wieczorem.

Personal operetkowy powróci jutro z Krakowa do Lwowa.

Część ekonomiczna.

= **Sprawozdanie** z targu zbożowego na Kleparowie. — Kraków 31 sierpnia.

Stała tendencja, jaka na jarmarku zbożowym w Wiedniu w ostatnim dniu zapanowała, przenosząc się na targi prowincjonalne, wywołała ogólne podniesienie cen.

Mimo to targ dzisiejszy u nas był raczej słabszy od poprzednich, gdyż wobec ukończenia najpilniejszych robót dowozy zaczynają się wzmagać, a kupujący korzystając z tego usilnją powstrzymać nagłe podnoszenie się cen i dlatego ograniczają się w zakupnach, tem więcej że już wcześniej znaczne ilości zboża zakupili. Ceny ostatnie utrzymały się wprawdzie, ale chęć do kupna, zwłaszcza co do jęczmienia który doszedł do cen bardzo wysokich, dzisiaj osłabła widocznie.

Płacono za pszenicę białą 7.30 do 8.15, czerwoną 7.25 do 8.10, żółtą 7.25 do 8.10; żyto 5.75 do 6.20, jęczmień 5.25 do 6.75, owies 5.30 do 5.80 (z akcyzą). — Wszystko za 100 kilogramów.

Wiedeń 30 sierpnia.

Mimo wielkich ofiar szczęśliwie ukończona likwidacja miesięczna natchnęła spekulację lepszą nadzieją. Ofiary były znaczne, gdyż report dochodził 10—12 pr., a banki poniżej 4—4$^{1}/_{2}$ pr., kapryszące w wyborze podpisów, nie chciały prolongować. Gdy jednak również w Berlinie uporano się dość zręcznie z ultimem, usposobienie tutejszej giełdy poprawiło się, tendencja wzmocniła, a znowu ustalił kierunek zwyżkowy. Ku temu zachęciły wiadomości polityczne lub właściwie brak niepokojących wiadomości, a kongres gmundeński, gdzie zjechały się równocześnie monarchinie Austrji i Rosji, oraz następczyni tronu angielskiego wraz z innemi księżniczkami, budzi nadzieję, że zjazd ten półoficjalny wydać może wybitniejsze owoce, niż oficjalny zjazd petersburski. Mimo tego dzisiejsze operacje nie rozwinęły się szerzej, bo stał temu na przeszkodzie brak gotówki, który od dłuższego już czasu stał się chroniczną chorobą tutejszej targowicy. Przedewszystkiem faworyzowano tu efekta, brane w wyjątkową opiekę przez Berlin, a są niemi Länderbanki i Alpiny, a te ostatnie znów wzrosły dziś w kursie. Z powodu wysokiego reportu renty odchodziły dziś słabo i nie zyskały większego awansu. Z papierów kolejowych poprawiły się znów Lombardy, gdyż sangwiniczne nadzieje na obfite transporta zboża nie ziściły się w ostatnim tygodniu. Koleje galicyjskie, mimo przyznania znacznego opustu taryfowego dla zboża galicyjskiego na kolei Karola Ludwika, i mimo powtarzających się pogłosek o wzięciu w zarząd państwa kolei Czerniowieckiej, utrzymały się na wczorajszym poziomie. Waluty i dewizy staniały, a wraz z niemi spadł dziś kurs rubli.

W końcu notowano:

Kredyty austrjackie 312·90, węgierskie 306·50, anglobanki 109·—, uniony 213·75, bankvereiny 97·25, laenderbanki 238·—, ludwiki 211·25, czerniowieckie 222·25, renta papierowa 81·70, srebrna 82·50, złota austrjacka 111·40, 5% papierowa 97·60, złota węgierska 101·95, 5% papierowa 91·45, ruble 1·21$^{1}/_{2}$.

Ostatnie wiadomości.

Z Rzymu otrzymujemy następujące wiadomości:

„W encyklice z 27 z. m. podnosi Papież powrót Armeńczyków na łono Kościoła katolickiego i zachęca biskupów do gorliwości dalszej w tem dziele. Jeden ustęp chwali sprawiedliwość i pokojowe usposobienie sułtana, który sprzyja propagandzie katolickiej. Jest to alluzja do stanu rzeczy we Włoszech. Względem ceremonjału przyjęcia cesarza niemieckiego w Watykanie ułożono t. zw. p o l i t y k ę k o n i, t. j. że cesarz przyjedzie karetą ambasady niemieckiej a nie dworską. Wieści, że cesarz Wilhelm za poradą ks. Bismarka ma się starać pogodzić Watykan z Kwirynałem, są zgoła bezpodstawne. Leon XIII byłby gotów do ofiar odnoszących się do dawnych krajów papieskich, lecz nie ustąpi wcale co do t. zw. restytucji Rzymu, a w tym punkcie i rząd włoski nie ustępuje. Mogłoby zatem iść tylko o pewne złagodnienie sytuacji, którą rządy Crispiego zaostrzyły. I książę Bismark i Włochy wiedzą dobrze, jakąby im to dało potęgę, gdyby miały za sobą Papieża, coby się to przyczyniło do izolacji Francji, podczas gdy obecnie ks. Bismark zawsze się tego obawia, że moralny wpływ Papieża wiele może ważyć na szali na rzecz Francji.“

Telegramy „Przeglądu“.

Rzym 1 września (pryw.) Król czyni starania żeby ks. Hieronima skłonić do abdykacji z pretensji do tronu francuskiego i pogodzenia go z synem Wiktorem, a to w przewidywaniu przewrotów we Francji. Włochy wolałyby widzieć na tronie we Francji Napoleonidów, jako krewnych, a także ze względu na ich stanowisko względem papieztwa.

Paryż 1 września (pryw.) Tutejsze sfery urzędowe mniemają, że pogłoski o zamiarach Włoch względem Tripolisu są bezpodstawne. Tripolis jest posiadłością sułtana, wyprawa wymagałaby 40.000 wojska, a nadto sprzymierzeńcy Włoch nie pozwoliliby bezwarunkowo na zamach, któryby Turcję stanowczo przeciw lidze środkowo-europejskiej usposobił i rzucił ją w ramiona Rosji.

Paryż 1 września (pryw.) Prowincjał Franciszkanów wysłał memorjał do Papieża względem beatyfikacji Joanny d'Arc Komitet w Reimsie wezwał wszystkich biskupów do zbierania składek na konny posąg dziewicy Orleańskiej dłuta Dubois, dla katedry.

Paryż 1 września. (pryw.) Floquet przedłoży Izbom wniosek rządowy rewizji konstytucji, nie robiąc atoli z niego kwestji gabinetowej.

Z Nicei wydalono pod zarzutem szpiegostwa sekretarza włoskiego dobroczynnego towarzystwa.

Rzym 1 września. (pryw.) Po powrocie z Niemiec Crispi na naradzie gabinetowej tak się wyraził: „Stanowisko sprzymierzonych mocarstw w sprawie bulgarskiej jest następujące: Ponieważ nie ma żadnego dobrego projektu, przeto należy popierać utrzymanie *status quo*, unikając wszelkiej interwencji czynnej i wyczekując inicjatywy rosyjskiej.

Na odjezdnem ks. Bismark rzekł do Crispiego: „Do widzenia za rok“.

Berlin 1 września. (pryw.) Sprawozdanie komisji powodziowej opiewa: Ostatnia powódź zalała na Wiślanej nizinie Nogatu 37.000 hektarów. Po reperacji wałów spłynęła woda z 13.000 hekt. i te będą już uprawione w jesieni. Za pomocą 120 parowych pomp wyczerpano wodę z na przestrzeni 20.000 hekt. Roboty na pozostałych najniższych 4000 hektarach będą przed zimą ukończone.

Londyn 1 września. (pryw.) Izaak chan rozporządza w Turkestanie 6000 regularnego wojska. Udał się on w góry Szadiońskie. Jeżeli zażąda protektoratu Rosji, w takim razie przyjdzie do podziału Afganistanu między Rosją a Anglją.

Madryt 1 września. (pryw.) Z Brazylji donoszą, że w południowych prowincjach szerzy się propaganda socjalno-republikańska. Przypuszczają, że chwila śmierci Dom Pedra będzie hasłem do rewolucji i ogłoszenia rzeczypospolitej.

Paryż 1 września. Królowa serbska odjechała do Bukaresztu.

Berlin 1 września. Krążą pogłoski, że cesarz mianował króla szwedzkiego admirałem *a la suite* niemieckiej marynarki.

Petersburg 1 września. W skutek polecenia ministra spraw wewnętrznych otrzymał *Graždanin* t. zw. pierwsze ostrzeżenie (pierwszy stopień kary, po którym następuje zawieszenie pisma — przyp. red.) z powodu, że pozwolił sobie nader niewłaściwych uwag o czynnościach rządu.

Wiedeń 1 września. Według *Pol. Corr.* cesarz, który wczoraj z rana przybył tu z Bawarji, udaje się dziś do Gmunden w celu odwiedzenia carowej rosyjskiej i powróci w południe do Wiednia.

Berlin 1 września. Arcyksiążę Karol Ludwik wraz z małżonką udał się wczoraj przed południem do Babelsbergu w celu odwiedzenia cesarzowej Augusty, a stamtąd wyjechał do Poczdamu.

Reichsanzeiger ogłasza wyciąg z rozporządzenia ostatniej woli Wilhelma I, zrobionego jeszcze w dniu 10 kwietnia 1857, tudzież z podobnych rozporządzeń skreślonych w dniu św. Sylwestra z lat 1866, 1871 i 1878, wreszcie proklamację cesarską, przyczem dodaje, iż notatki te dają świetne świadectwo o wielkości duszy i szlachetności bogobojnego umysłu Wilhelma I. — *Reichsanzeiger* postanowił ogłosić wspomniane wyjątki z własnoręcznych pism zmarłego cesarza właśnie w rocznicę tak dla domu cesarskiego pamiętną, na pamiątkę i chwałę zmarłego, a jako wzór dla dynastji i ludu.

Kilonja 1 września. Cesarz ustanowiwszy króla szwedzkiego admirałem marynarki cesarskiej przyjął to samo stanowisko w marynarce szwedzkiej.

Berlin 1 września. Podczas objadu galowego na 170 nakryć siedzieli królowa saska, król szwedzki, arcyksiążę Karol Ludwik, W. ks Meklemburski po prawej stronie cesarza, zaś arcyksiężna Marja Teresa, król saski, W. ks Meklemburska po lewej. Król szwedzki wzniósł toast na cześć Taeuflinga.

Po południu odbyło się w obecności gości cesarskich oddanie wstęg sztandarowych pułkom, których właścicielem był cesarz przed wstąpieniem na tron. Cesarz pojawił się na koniu, wygłosił podniosłą przemowę, i wspomniał w niej o dniu, kiedy brygada defilowała przed cesarzem Fryderykiem, który jako cesarz tylko te oddziały wojsk widział. Na pamiątkę tego ofiarował cesarz pułkom wstęgi sztandarowe. Jenerał Falkenstein dziękował cesarzowi za wysoki zaszczyt, poczem wojsko wzniósłszy trzykrotne hurrah, przedefilowało przed cesarzem.

Paryż 1 września. Na śniadaniu wydanem przez miasto Hyères na cześć ministrów, oświadczył minister marynarki Krantz, że manewry floty nie mają bynajmniej wojennego charakteru, i że szło tylko oto, ażeby się dowiedzieć, czy Francja może być na daną chwilę przygotowaną. Próby te powiodły się zupełnie szczęśliwie. Francja nie pragnie wojny, gdyby jej jednak wojnę wypowiedziano, natenczas nie zniesie żadnego poniżenia i nie odmówi wezwaniu.

Floquet powiedział, iż przybył w celu rzeczywiście pokojowym, ażeby złożyć marynarce swoje powinszowania. Podobnie jak marynarka, tak i on nie będzie się lękał nieprzyjaciół zewnętrznych, jeśli są jacy. Republika nie obawia się nieprzyjaciół wewnętrznych, ani otwartej reakcji, ani uzurpatorskich usiłowań. Będzie ona zawsze postępować naprzód pozostawiając na prawo i lewo trupy tych, którzy pragnęliby sprowadzić czy to restaurację monarchji czy też przypadkową dyktaturę.

Berlin 1 września. Ceremonja chrzcin najmłodszego syna cesarza Wilhelma II odbyła się wczoraj o godz. wpół do 3-ej po południu ściśle według programu, w pokoju, w którym mieszkał i sypiał Fryderyk Wielki. Ceremonji dopełnił kaznodzieja dworski Koegel. Chrześniak otrzymał imiona: Oskar Karol Gustaw Adolf. Z książąt brali udział w ceremonji: królowa saska, król szwedzki, arcyksiążę Karol Ludwik z małżonką (w zastępstwie cesarstwa austrjackiego i następczyni tronu Stefanji), dalej w. ks. Meklenburski, ks. Fryderyk Leopold, ks. Aleksander pruski, ks. Jan Albrecht meklenburski, tudzież trzy cesarzowe z książętami i księżniczkami domu.

Po chrzcinach dwór defilował przed cesarzową. Wieczorem w ogrodzie „pod Lipami“, oświetlonym elektrycznem światłem, odbył się wielki koncert wszystkich kapeli wojskowych, któremu przysłuchiwali się dwór i zaproszeni goście z balkonu. Na ulicach zgromadziły się niezmierne tłumy ludności. Porządek był wzorowy.

Arcyksiążę Karol Ludwik z małżonką wyjechał wieczorem z powrotem do Wiednia.

Przyjechali do Lwowa

dnia 1 września 1888.

Hotel Żorża: Hr. A. Cetner z Podkamienia. Br. Scudier z Wiednia. A. Scudier z Wiednia. W. Niwicki z Tarnowa. M. Zaleski z Wołynia. M. Dwernicka z Podola rosyjskiego. A. Singer z Wiednia. F. Meznik z Wiednia. E. Sonnenabend z Klagenfurtu. K. Żywicki z Tarnopola. H. Czarnowski z Kijowa. B. Garnysz z Złotego potoka. K. Horodyski z Tłusteńka. St. Tomanek z Skwarzawy.

Hotel Langa: F. Heinrich z Wiednia. Al. Trojan z Berlina. H. Schoettler z Szczecina. St. Roztás z Budapesztu.

Hotel Warszawski: S. Ryleki z Turki wielkiej. L. Starkiewicz z Trościańca. W. Janowski z Rudek. A. Stryjski z Kołomyi. S. Kalinka z Skotoszyna. W. Traczewski z Czernoszowiec.

Hotel Francuski: R. Soczyński z Filipopola. Z. Iwanicka z Warszawy. E. Brodzki z Borek małych. W. Wiśniewski z Ciemieczyniec. J. Zduń z Krakowa. W. Hölkisch z Żółkwi. J. Janicki z Berek.

Hotel Krakowski: K. Musioł z Pawelcza. J. Epler z Załuża. J. Michalski z Żółkwi. W. Chędzyński z Radziechowa. R. Skulski z Zbaraża. M. Dziama z Halicza.

Hotel Europejski: St. Wybranowski z Kimirza. J. Rylska z Uhrynowa. Z. baron Heydel z Krakowa. M. Barleon z Czerniowiec. I. Reinhauer z Szkła. M. br. Roniker z Warszawy.

Hotel Angielski: J. Kochanowski z Krakowa. M. Kusionowicz z Kołomyi. J. Łopatyński z Doliny. F. Schremmer z Wiednia. R. Urbanetz z Wiednia. A. Schöntag z Wiednia. W. Osmólski z Władypola. G. Ziembicki z Malczyc.

Telegram giełdowy.

Wiedeń dnia 1 września godz. 1. min. 50.

Alpiny	44·—	Wiedeńskie losy kom.	142·—
Kredyty węg.	306·25	Akcje tyton.	117·75
Anglobanki	110·25	Gal. obl. indem.	103·25
Uniony	214·25	Elbethale	196·25
Ludwiki	211·50	Länderbanki	238·—
Nordbahny	247·50	Renta zł. węg.	101·97
Lombardy	112·90	Banvereiny	97·25
Tramwaj	232·60	Renta wspól. pap.	91·70
Staatsbahny	2[illegible]4·50	Ruble	1·23
Czerniowieckie	224·50		
Węg. kolej półn. wschodn.	162·75		

Usposobienie mało ożywione.

Z zbożowych targów.

1 września	Lwów	Tarnopol	Podwołoczyska	Czerniowce
Pszenica	6.25—6.90	6.15—6.80	6.05—6.75	6·——6.70
Żyto	4.60—4.75	4.40—4.60	4.25—4.55	4.25—4.70
Jęczmień	4.——6.—	4.——5.80	3.65—4.60	4.20—5.05
Owies	4.50—5.25	3.75—4.45	4.——4.65	3.30—4.—
Groch	4.50 10.05	5.50 10.—	5.10 9.—	4.40 9.—
Wyka	4.50 5.—	4.30—4.75	4.50—5.10	4.10—4.80
Rzepak	10.25 11.70	10.—11.50	10—11.50	10.—11.15
Lnianka	—.——.—	—.——.—	—.——.—	—.——.—
Konic. czer.	22.—26·—	20.—25.—	20.—25.—	21.—25.—
Konic. białe	32.—85.—	30.—84.—	30.—84.—	31.—85.—
Konic. szwed.	30.—36.—	30.—85.—	28.—85.—	—.——.—

wszystko za 100 kilo netto bez worka.

Chmiel za 56 kilo loco Lwów zł. 24—48 nominalnie.

Nowy chmiel od — do — złr. za 56 kilogramów.

Okowita za 10·000 litr. proc. Lwów loco 31 — do 32 —

Wiedeń 1 września Pszenica 8.35 do 8·37 na jesień —·— do —·—, na wiosnę r. 1889 9·18 do —.—. Żyto 6·34. do 6.36, na jesień —·— do —.—, na wiosnę 1889 6.74 do —.—. Owies 5·90 do 5.92, na jesień —·— do —·— na wiosnę r. 1889 6·27 do —·—. Okowita 28·—— do —·——. **Peszt** 1 września. Pszenica 7·97 do 7·99, na wiosnę r. 1889 8·69 do —— Żyto 5·70 do —·—, Owies 5·55 do 5·60, na wiosnę r. 1889 5·98 do ——. Okowita 28·— do 28·50. **Berlin** 1 września. Pszenica 178·75 do 180·75, na jesień —·—, Żyto 140·— do 148·50 na jesień —·—, Owies 120·25, do —·— na jesień —·—. Okowita 32·90. do —·—, na jesień —.—

C. k. jen. Dyrekcja kolei państwowych.
Wyciąg z rozkładu jazdy
ważnego od 1 czerwca.

Przybywają do Lwowa:

1. godz. 15 m. w nocy, z Budapesztu, Ławocznego, Stryja, Krosna, Chyrowa, Husiatyna, Stanisławowa, Stryja

1. godz. 6 m. zrana, z Suchej, Chyrowa, Stryja Stanisławowa.

3 godz. 20 m. popołudniu, z Suchej, Chyrowa, Husiatyna, Stanisławowa, Stryja.

7 godz. 40 m. wieczór, z Husiatyna.

Wyjeżdzają ze Lwowa:

5 godz. zrana, do Stryja, Ławocznego, Budapesztu Chyrowa, Stróża.

10 godz. 15 m. zrana do: Stryja, Stanisławowa Husiatyna, Chyrowa, Suchej.

7. godz. 50 m. wieczorem do Chyrowa, Suchej.

9. godz. 48 m. wieczorem do Stanisławowa Husiatyna

42)

Rodzina Bouverie

POWIEŚĆ

przez

Mrs. Argles.

(Ciąg dalszy).

Pomimo gwałtownego ruchu z jakim się odwrócił, Ryszard dojrzał łzy w jego oczach.

— Co to ma znaczyć? — myślał spoglądając za odchodzącym. — Pewno znów chodzi o rachunki; poczciwy chłopiec skoro tak sprawy moje bierze do serca. Zanosi się widocznie na nową scenę z mylady; ale komu się szczęście uśmiecha za miesiąc, ten dziś może znieść trochę przykrości.

I roześmiawszy się radośnie, przebiegł szybko korytarz, stając u drzwi lady Bouverie.

Chorująca na dystynkcję arystokratka, siedziała przed biurkiem, z listem otwartym w ręku, oblicze zaś, które zwróciła ku synowi, odpowiadając na powitanie jego lekkiem głowy skinieniem, zdawało się zgóry już gromy rzucać.

— Zjawiłeś się nareszcie — raczyła zauważyć zimno. — Chcąc się zobaczyć, byłam zmuszona kazać cię szukać na wszystkie strony, w końcu posłałam nawet do Grayslands, sądząc, że może tam cię odnajdę.

— Bardzo to było trafne przypuszczenie, — przerwał śmiejąc się Ryszard. — Tem więcej spieszno mi przeprosić cię moja matko, żeśmy tak długo z uczuć naszych robili przed tobą tajemnicę.

— My? Co za my? — podjęła lady Bouverie prostując się dumnie i wspierając ciężką, brylantami przybraną rękę o poręcz najbliższego fotelu.

— Dolores i ja, — objaśnił młody człowiek łagodnie. — O przywiązaniu naszem wiedziałaś mamo oddawna, boś je na każdym spostrzegać musiała kroku, jakkolwiek jawnie nie mówiliśmy o tem nikomu. Dziś jednak, przyszedłem zawiadomić cię, iż miss Lorne raczyła przyjąć moje oświadczyny i że przyrzekła żoną mą zostać.

— Nigdy! — wybiegło przez zaciśnięte usta lady Bouverie. — Nigdy! z niezwykłą powtórzyła mocą.

Głos jej nie drżał przytem, nie był wzburzony, ani wzruszony. Rzucała zakaz ten zimno, ze stanowczością, która jak groźba fatalna odbiła się w duszy Ryszarda.

Podniósł głowę, zanim jednak zdołał jedno słowo wymówić, potok słów gorących wypłynął z ust mylady, ciskając mu w oczy całe nieszczęsne opowiadanie pułkownika Oswalda, ze wszystkiemi szczegółami, z bolesną bezwzględnością plotek potwarczych. Zanim zdołał zrozumieć o co chodzi, zanim pojął iż istnieje jakaś tajemnica dotycząca Dolores, już zjadliwie żądło jad mu w serce zapuściło.

Pobladły śmiertelnie, Ryszard zachwiał się pod tym ciosem i ze spuszczonemi oczyma, z wyrazem skamieniałego bólu i przerażenia oparł się siłą całą o marmurową kolumnę kominka. Odurzenie to wszakże trwało sekundę zaledwo, poczem odzyskując przytomność, przygryzł do krwi wargi aby gwałtowny powstrzymać wybuch, i zapytał tylko:

— Kto ośmielił się powtórzyć ci matko tę potwarz haniebną?

W głosie jego brzmiało tyle szlachetnego oburzenia i taka groźba dzika, iż w obec niej opancerzona brakiem serca lady Bouverie zadrżała nawet.

— Pułkownik Oswald.

— Oswald? A skądże on rzecz podobną wiedzieć może?

— Na szczęście dla ciebie znał niegdyś Maturin'ów, inaczej niecny spisek, mający na celu aby cię złapać i skłoniwszy do małżeństwa zdobyć uczciwe dla tej dziewczyny nazwisko, byłby się może powiódł intrygantom.

— Na szczęście dla mnie! — powtórzył ze śmiechem goryczy, zaciskając równocześnie z taką siłą pięście, iż paznokcie do krwi w ciało mu weszły. — Ha, ha, ha, na szczęście dla mnie!

Wyprostował się, czekając co jeszcze dalej usłyszy. Patrząc na delikatny kwiat ten, bał się dla niej śmierci niejednokrotnie, ale wstydu, ale hańby!

— Zdaje się, — ciągnęła mylady dalej, — iż Oswald kochał się niegdyś w nikczemnej matce tej dziewczyny, odrzuciła go jednak, czy porzuciła, trudno to dziś wiedzieć.

— Mści się więc na jej pamięci; jak to szlachetnie! Zemsta nad umarłą! Czem bliżej poznaję Oswalda, tem więcej szanować go zaczynam.

— Melodramatyczne okrzyki są tu co najmniej nie na dobie, — przerwała lady Bouverie lodowatym tonem. — Zechciej przytem pamiętać, iż demaskując podstępnie uknuty spisek, oddaje nam przysługę, za którą do śmierci wdzięczny mu być winieneś.

(C. d. n.)

Nie mogę w żaden sposób zgodzić się na zrobioną propozycję, by pisać na ręce obcych ludzi, gdyż ani jedna ani druga osoba nie jest pewną. Proszę się według tego stósować, bo to moje przekonanie. Przyrzekam jednak, że będę pisał co tygodnia w anonsach „Przeglądu." Ty się pytasz, czy ja Cię wiernie kocham? O! czem raz więcej i czem raz bardziej się przekonuję, że Ty tylko możesz mię uszczęśliwić, że tylko dla Ciebie żyję i dla Ciebie też tylko teraz cierpię. Może to będzie kiedyś mi więcej wynagrodzone. Dziś rok żyłem jak w raju a teraz co za zmiana! Piekło niczem — bo tych męk tam się nie doznaje. Wierzę, że Cię do mnie ciągnie bo i ja ginę z tęsknoty — sam nie wiem co począć, mało nie oszaleję. Sciskam Was niezliczone razy, pisz częściej i nie zapominaj o Twym wiernie Cię kochającym

M.

Odpowiedzialny redaktor: **Wacław Masłowski** Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. — Zarządzca: Walenty Hodak